

Facebóg i inni

Almanach poezji i prozy

Rzeszowskie Dni Kultury Szkolnej



EDYCJA XIX

16-18 listopada 2011 r.



III
Liceum Ogólnokształcące
im. Cypriana Kamila Norwida
w Rzeszowie

Wydanie XVIII

**Protokół obrad Komisji konkursu literackiego
w ramach XIX RDKS 2011 r.**

Po zapoznaniu się z zestawami wierszy 58 autorów i 36 propozycjami prozatorskimi Komisja w składzie:

- prof. Wanda Lignowska-Bajda (III LO w Rzeszowie),
- Lidia Miś-Nowak (pisarka, właścicielka Wydawnictwa Dreams),
- dr Stanisław Dłuski (Uniwersytet Rzeszowski)
- Marek Pękała (pisarz, krytyk literacki)

postanowiło przyznać następujące nagrody i wyróżnienia:

W DZIEDZINIE POEZJI:

I nagroda

REGINA – za zestaw wierszy
Aleksandra Skwierz
kl.III d, III LO w Rzeszowie

II nagroda

NOWALIJKĄ – za zestaw wierszy
Marcelina Dziok
kl.I, III LO w Krośnie

III nagroda

PRZETERMINOWANA – za zestaw wierszy
Monika Tomczyk,
kl.III, LO im.(spacja) M.Kopernika w Tarnobrzegu

Wyróżnienie

MALEŃKA – za wiersz: „Para trampek”
Marta Magdoń
kl.II c, LO im. ks.Piotra Skargi w Sędziszowie Małopolskim

Ponadto Jury wybrało następujące wiersze, które zasługują na publikację w tegorocznym almanachu:

LLORET – „Sensualizm”
Karolina Nitka
kl.III, I LO w Krośnie

CAROLLA – „Oprowadź mnie tędy”
Karolina Szewczyk,
kl.III a, LO w Jeżowem

LUKRECJA – „Prześwitująca” i „Koleżanka w tiulowej spódniczce”
Julia Urban
kl.I b, Publiczne LO im.Jana Pawła II Sióstr Prezentek w Rzeszowie

MANIEK – „Szkło”
Natalia Szumna
kl.III b, Gimnazjum Sióstr Prezentek w Rzeszowie

CORRADO – „Do nikogo” i „Przedsmak”
Konrad Kustroń
kl.II, I LO w Krośnie

TRAMP – „Spokój” i „Tylko tyle”
Dawid Król
kl.III, ZSO nr 2 w Rzeszowie

MYSZKA II – „Secand-hand” i „Kolory na ścianie”
Daria Bełch
kl.III, Katolickie LO w Krośnie

SANGLIER – „Pożegnanie”, „Pamięć”, „Drzemka”, „Wypalenie”
Barbara Róžańska
kl.III, III LO w Rzeszowie

ŁOWCA SŁÓW – „Pajęczyna tchnień lichych”, „Ecce artifex”
Michał Basamon
kl.III, II LO im. L. Lisa-Kuli w Rzeszowie

PESIOLINO – „Pustka”
Anna Wójciak
kl.II, LO im. M. Kopernika w Tarnobrzegu

JAN NOWAK ZWANY KOWALSKIM – „Ażurowa egzystencja”
Joanna Leja
kl.II d, ZSOiE w Przeworsku

ARIADNA – „Milczenie” i „Balkon”
Adrianna Liebchen
kl.I h, III LO w Rzeszowie

AGAPI – „Pragnienie”
Aleksandra Skiba
kl.I, III LO w Krośnie

KAROL – „Nie wystawaj”
Karolina Rachwał
kl.III, ZSP nr 5 w Krośnie

NIKE – „Moje marzenia”, „Rysunek”, „Czasami płacę”
Aleksandra Stanek
kl.II b, II LO w Jaśle

LIRYCZNY EROS – „Uczuciowy wzrok”
Jakub Dzierżak
kl.II, Zespół Szkół Elektronicznych w Rzeszowie

W DZIEDZINIE PROZY:

I nagroda:

ZIELONY MAG – „Facebóg”
Tomasz Kida,
kl.III a, III LO w Rzeszowie

II nagroda:

KOSTEK – „To jest wojna, żołnierzu!”
Piotr Kostański,
kl.I g, I LO im. M. Kopernika w Krośnie

III nagroda:

ML – „Zmierzch straży”
Piotr Kędziński,
kl.IIa, LO im. KEN w Dynowie

Wyróżnienie:

MIM- „Jesienne wspomnienie”
Michał Musiał,
kl.III g, Zespół Szkół Elektronicznych w Rzeszowie

Ponadto polecono do druku:

HUBERUS – „Pierwsze polskie łowy”
Maciek Doryk,
kl.III, ZSO im. KEN w Stalowej Woli

CHMURKA – „Pamiętnik Prometeusza zapomnianego”
Klaudia Stanisł,
kl.I g, I LO im. M. Kopernika w Krośnie

KOPUŚ – „Niech żyją wakacje”
Weronika Koprowska,
kl.II a, I Społeczne Liceum w Tarnobrzegu

SZULER – „Chłopcy z Botany Bay”
Szymon Barabasz,
kl.III g, I LO w Krośnie

KATHY – „Bez pożegnania”
Karolina Kotyla,
kl.III a, III LO w Rzeszowie

ZUZANNE – „Stracone”
Katarzyna Rząsa,
kl.III, III LO w Rzeszowie

IWA – „Tajemnicza piękność”
Anna Iwaszek,
kl.II h, Zespół Szkół Elektronicznych w Rzeszowie

VENDIE – „Oddając się wspomnieniom”
Katarzyna Bieda,
kl.IV a, Technikum nr 1 w Mielcu

NOWALIJKA – „Świat należy do ludzi”
Marcelina Dziok,
kl.I, III LO w Krośnie

Na tym protokół zakończono i podpisano.
Rzeszów, dnia 14 listopada 2011 r.

Talent to nie wszystko..., ale bardzo wiele

Patrzę w przeszłość na własne zmagania ze słowem, gdy jako ośmiolatka zagapiona w białą tarczę księżycza znajdowałam natchnienie. Już wtedy wiedziałam, jaką obrać drogę. Marzyłam o lekkim piórze, przychylniej krytyce i adaptacji filmowej. Do dziś marzę.

To samotna wędrówka eremity, skryby. Pisarz nie spotka się ze spektakularnym aplauzem mas. Widzieliście, by ktokolwiek prezentował wiersze w *Mam talent?* Konkurs literacki w ramach Rzeszowskich Dni Kultury Szkolnej wyłonił niejednego zdolnego przyszłego pisarza, poetę. Pytam finalistów z ubiegłych lat, dokąd powiódł ich Pegaz? A dokąd powiedzie finalistów tej edycji?

Twórczość literacka rządzi się swoimi prawami. Przetrwają wytrwali. Kiedyś przeczytałam opinię jednego wydawnictwa na temat dzieła pewnej Barbary. Owo wydawnictwo prezentowało swoje wypowiedzi na stronie internetowej. Barbara, wysyłając tekst, podzieliła się myślą, że chciałaby coś zostawić po sobie. Krytyka bywa okrutna. W odpowiedzi otrzymała sugestię... prokreacji. Rozbawiło mnie to, ale tylko przez moment. Poniżej, pośród całej listy nazwisk, znalazłam swoje i tak zaopiniowano moją powieść: „Pani Lidio, pani historia wcale nie jest zabawna (jak sądziłam), za to dydaktyzm wylewa się niczym lawa z wulkanu”. Dziś dziękuję za te słowa, było w nich sporo racji. Od tego zdarzenia minęło osiem lat, a ja nadal pracuję nad powieścią i boję się ją opublikować, mimo że jestem teraz również po tej drugiej stronie, stronie wydawcy. A co pomyślała Barbara, czy wytrzymała przy swoim? Nie wiem.

Jak zatem pisać, aby wydać? Przytoczę tu myśl Piotra Wereśniaka, który w *Alchemii scenariusza filmowego* (polecam tę lekturę!) pisze: *Najpierw potrzebny jest pomysł, dobry pomysł!* A to już moja sugestia, ważne są też: zgrabność stylistyczna i poprawność językowa. Najlepszy pomysł spali na panewce, jeśli będzie zawierał stwory i potwory językowe.

Innymi prawami rządzi się film, innymi książka. Żadne wydawnictwo nie przyjmie tekstu, nad którym musiałyby dużo pracować. Dlatego – kolejna rada: odłóż tekst do szuflady. Daj przeczytać przyjacielowi i wrogowi. Zastanów się nad ich krytyką. Potem zleć dobrą korektę. Dopiero wówczas, gdy będziesz pewien, że to, co napisałeś, jest w idealnym stanie, wyślij do wydawnictwa. Gwarantuję, że wydawca wytknie Ci kolejne błędy.

Marzy Ci się sukces „Zmierzchu”? Przytoczę dane statystyczne rynku wydawniczego: Najlepiej sprzedającą się powieścią w Polsce w ostatnich latach była książka Dana Browna pt. „Kod Leonarda da Vinci”. Ale... była! Dlaczego nie jest? Sprzedaż powieści drastycznie spadła z chwilą ekranizacji. Widzowie uznali, że skoro film jest taki sobie, to po co sięgać po lekturę? Widzicie zależność? W tej branży nie ma zasad. Przeciętna powieść po sukcesie filmowym sprzedaje się w milionowych nakładach, a dobra proza może ponieść klęskę.

„Każdy ma swoją drogę” mówi „Alchemik”. Być może Tobie, nie tak, jak pani Rowling, jakieś wydawnictwo od razu przyjmie powieść. Być może Ty nie będziesz się zmagać. Być może w Twoim przypadku wraz z talentem szczęście pójdzie w parze. Daj Boże.

Łatwo wówczas stanąć w miejscu. Jedno w tej wędrówce niech Ci towarzyszy: z tarczą, czy na tarczy, ale nie pozwól, aby mądrzy ludzie zakopali Twój talent! Sobie też na to nie pozwól!

Lidia Miś – Nowak

POEZJA

I NAGRODA

Regina

ALEKSANDRA SKWIERZ, III LO w Rzeszowie

Bifrost

Ujrzałem nikły snop światła nad ziemią,
Niesiony na skrzydłach nocnego motyla,
Który ostatnim ręki drżeniem pochwyciłem -
— Poznałem Boga - światłem była chwila.

Na oceanie świata wybudowałem swój własny pomost

Braterstwo

w gwiazdach powbijanych w niebo zapisana jest
śmierć epok istne dance macabre
śmierć tysiąclecia pod maską iluzji
śmierć dziejów jawne wibracje kosmosu
spójrz w górę w lustrze życia ujrzysz gwiazdę
gwiazdę o obliczu zakrytym welonem niewoli
tonącą w oceanie pokornej nadziei
oddaj światu za jego zło dokonane
umysł czysty relikwie wiary prawdy miłości nadziei
dłoń jasną gotową do życia

nie wiem skąd przybyłeś z której nadszedłeś strony
a ujrzałem pod światło jesteś moim bratem
obaj mamy serca źrenice szerokie dłonie spracowane
uderzające podobieństwo tak ty musisz być moim bratem
nie musimy szukać wspólnych przodków gałęzi
nici pokrewieństwa wystarczy spojrzeć na niebo
zawsze podam ci dłoń ale nie rezygnuj z walki
szanuj wrogów udzielili ci lekcji
jakiej nigdy nie da ci żaden z mistrzów
zmierzyłeś się ze sobą w tej bitwie poległo już wielu

idźmy zatem dalej nie bójmy się błędzić
tylko wtedy spotkamy bardziej samotnych niż my

nie bój się powrócimy bo świat jest już wytyczony
nawet ludzi podzielili na białych i czarnych
fałszywi prorocy
oni polegali już dawno przed samymi sobą

Ganges

Utonąłem w mgławicy szlachetnych kamieni
Ja- dziękuję orchidei kwiat
Obraz podobieństw między światem a Bogiem
Jako korowód barw błędę między słońcem
Pośród muzyki cienia i bębna szamanów
Wchodzę w ten twór szlachetny
Co mnie otulił w złoto i tkaniny wschodu
Co urealnia me marzenia pośród gąszczy cudów
Krainy niezdołyte przez nikogo prócz ludzkiej świadomości
w ten twór zwany światem
I ujrzałem górowanie słońca nad dolina mojego czynu
Wulkan natchniony snem poprzedzających mnie proroków
Dar życia przenikniony iskierkami śpiewu
Cud w barwach amarantu
Narodziny marzeń a wokół tańczące motyle tropików
Płynąłem wodami Gangesu Spoglądając w życie
Spoglądając w oczy Boga

Wiszące ogrody

w prastarych tworach królestw z obłoków
zstępujących na zaćmienie słońca
drzemię jak w wulkanie wznosząc pieśń
skrytą pochwałę zapomnianych dziejów

na odległej dolinie rozmytej falą mistycznego bogactwa
łany jęczmienia połamał wiatr nadciągającego widma
samotności nocnej
najstraszniejszego z błakających się po świecie potworów
równego bogom w swej nieśmiertelności

ten nagi miecz wbity w ziemię to ja
stałem na wzgórzu obserwując płonący Pallatyn
patrzyłem jak mrok ginie rażony blaskiem przeraźliwej łuny
niosącej krzyk Tanatosa przerażonego ogromem autozniszczenia

to ja pokutowałem do krwi
to o co wojowałem rozdzieliłem pomiędzy umarłych
podarty na strzępy krwawy testament

zabłądził w ziemi upalanej słońcem

ilekroć znajdowałem się poza ogółem
zawsze odwracałem wzrok w kierunku wiszących ogrodów
w kierunku bajek nonsensów utopii i miłości

mógłbym stanąć na środku miasta
i publicznie dokonać oczyszczenia
powiedz mi tylko Panie
który z mieszkańców zawahałby się rzucić kamieniem

pragnąłem zburzyć swój dom
ujrzeć horyzont i wybudować pałac pełen przepychu
i kolorowych arabesek jutra

II NAGRODA

Nowalijka

MARCELINA DZIOK, III LO w Krośnie

A gdyby tak dać ludziom czas
To czy mieliby już wszystko?
Czy przestaliby gonić sami nie wiedząc za czym?
Czy daliby sobie na wstrzymanie?
Czy zechcieliby łaskawie znaleźć w kieszeni życia małą chwilę by zauważyć, że nie
są robotami
Napędzanymi kawowym paliwem
Napędzanymi banknotami
Popędzanymi reprimendami,
Że nie w terminie, za wolno, za mało
Szybko, szybciej!

Czy znaleźliby wolny dzień od nieśpieszenia
bez kalendarza
Zupełnie niezaplanowany, pusty dzień?
Czy pozwoliłby zegarkowi rozpuścić się w ciekłą masę rodem z obrazu Salavadora
/Dalego
I czy ludzie potrafiliby się sami rozpuścić w nicnierobieniu, nieśpieszeniu?

A gdzie tam.

Muzo, bogini moja
Ześlij rymów garść
Kłębek wełny twórczej
Słowną nić do tkania,

Krztę polotu i okruszek wyobraźni
Zamień tani zenit na złote pióro
Gęsty tusz na boski atrament
Ekologiczny papier na pożółkły pergamin
Niepoetyckie myśli pomóż w poetyckie ubrać słowa

Droga Eutrafie!
Homeryckie dmuchnij ku mnie porównania
Pomyślunek mój uczyń nawet nie złotym, lecz chociaż pozłacanym
Spraw, bym ważąc słowa nie nawarzyła sobie piwa
I żeby moje słowa choć o jotę lepsze były niż Miedzianobrodego Nerona pieśni

Pośród ogrodu siedzi ta królewska para
Naprzeciw świr zmęczony życiem
Zwariowany wariat
Niedoszły profesor, magister z plastrem na czole
Maminsynek
Zajada problemy pomidorową, zagryza życie prozackiem
Podwójne z niego nieszczęście, pierwiastek z pecha
V49=7

Życ mu przyszło w kraju nad Wisłą
W kraju, gdzie biało-czerwona płachta może być mojsza lub twojsza
Ale nigdy wspólna
Kap kap kap kap
Cztery krople udręki
Kap kap kap
Trzy krople zmęczenia
Razem czyni siedem kropli wariackiego życia

A pośród ogrodu siedzi ta królewska para
Niewzruszona
Dostojnie spogląda z góry na zaplątanego w biało-czerwoną płachtę wariata
I zamiast pomocy oferuje talerz zupki
Zjedz Kowalski, pomidorowa.

III NAGRODA

Przeterminowana
MONIKA TOMCZYK, LO im. M.Kopernika w Tarnobrzegu

jesteś trochę inna
chowasz łzy w tonie głosu
cierpienie przesuwa się przez oddech
wywalczony z coraz większym trudem
twój uśmiech zbladł tracąc resztki nadziei
boję się pytać dlaczego

ale jeszcze istniejesz
na siłę wbita w szpitalne łóżko
zwinięta w białą pościel
jak poczwarka czekająca na cud nowego życia
aleja tak strasznie nie chcę
byś mi odleciała w ten inny świat

lękam się momentu
gdy będę musiała zobaczyć
pustą białą pościel
wygłodzoną przez śmierć

gdy się rodziłam
miało nie być tak trudno
szepotali mi do serca
że najtrudniejszy jest pierwszy oddech
zaczepiany z obcego świata
gdy oddana we władanie ziemi
staję się bezdomna i tak naprawdę niczyja

ale pocieszali
przyzwyczaisz się
zaadoptuje cię rzeczywistość
znajdziesz swoje miejsce
na pustym skrawku świadomości
może nawet czasem pomieszkaś kątem
w ramionach innego człowieka
które będą ci się wydawać najmniej obce

tymczasem
dodaję kolejne koraliki lat
uformowane z łzy
z każdym rozerwaniem skóry na twarzy
pod wpływem grymasu zwanego uśmiechem
czuję się coraz bardziej oddalona
świat staje się coraz mniej znajomy

to co mówiłaś mamo
eksmitując mnie z siebie
okazało się kolejną nieprawdziwą baśnią

pocieszeniem danym na odchodne

Gdyby przyszło mi dziś umrzeć
Powiedziałabym a bardzo chętnie
Prosząc tylko o jedno życzenie

niech mnie raz jeden porwie miłość
uśmiechająca się z kubka kakao
niech oprowadzi mnie po swoich miejscach
sadowiąc na spróchniałej ławce
niech mówi z niedowierzaniem „naprawdę jesteś”
dotykając opuszkami palców by uwierzyć
niech czyni małe cuda
uczy zdumienia przy spojrzaniach w głąb siebie
niech czytuje z warg
bezgłośnie nieme wyznania
niech nie wie nic i tak będąc szczęśliwą

jedna chwila kochania wystarczy mi
za resztę jednostajnie szarych dat
wtedy umrę w najgłębszym spełnieniu

nie chciała wiedzieć
którą drogą idzie się po zbawienie
jeszcze w całej swojej naiwności
postanowiłaby podążać tą ścieżką
a przecież mogła spodziewać się
tylko ślepego zaułka

dla takich jak ona
wciąż brak miejsc w niebie
bo niebo takie ono porządne
poprawnie błękitne wykrojone na miarę
wyuczonych modlitw standardowych myśli
gestów podręcznikowej dobroci

jedyne co mogła
to wtulić się w zimny mur
przeczekać aż minie ich wieczność

i wrócą do codzienności
już bez nadziei bez szans
nie oszukując nawet Boga

WYRÓŻNIENIE

Małeńka

MARTA MAGDOŃ, LO im. Ks. Piotra Skargi w Sędziszowie Małopolskim

Para trampek

Chodzi ze mną wszędzie
czasem błądzi
czasem nie wie czego szuka
czasem w błocie
w śniegu i deszczu strugach...

Para trampek...
trochę dziurawe
zniszczone, brudne i ciasne
ale jedyne
moje własne...

Małe które każdego dnia
idą do przodu
szukając siebie
w odbiciu kałuży
w odbiciu lustra...

Para trampek...
idą tak niepewnie i chwiejnie
a czasem odważnie i zdecydowane
często gubiąc rytm
nie wiedząc co to wstyd...

Para trampek...
Buty mojej duszy
która się porusza
tak bardzo wzrusza
która wchodzi w bagien wiele
która kocha tylko szczerze
która ma tak wiele obaw
tak wiele wad i cech
która nie wie ile jeszcze
w tych trampkach
chodzić będzie lat...

TEKSTY POLECONE DO DRUKU

Lloret

KAROLINA NITKA, I LO w Krośnie

Sensualizm

W oceanie oczu twoich
morzu niemoralnego strachu

Drżące dłonie zamykam twoimi,
kreślisz ustami na skórze obraz nocy.
Taniec niemo się toczy,
ciało mego ciała.

Wpijam się palcami w twoje obojczyki,
chłopcze z marmuru,
wstydzie moich pragnień,
nieprzyzwoicie kojąca falo szeptu.

Wzrok zachodzi mgłą,
bezwiednie się nim pieszczę.
Policzki wyznaczają trasę wędrówki
po kropelkach wydechu.

Uczę się pożądania na pamięć.
I umiem.

Carolla

KAROLINA SZEWCZYK, LO w Jeżowem

Oprowadź mnie tędy

Witam pana w krainie życia
Po lewej stoją wojska irackie gotowe do wymarszu
Nie proszę nie patrzeć im w oczy
Naprzeciw zobaczyć można ludy Afryki
Trochę głodne ostatnio
Lecz jest to stan przejściowy
Jedźmy dalej
Ci ludzie pyta pan?
Oni tylko pracują przy wycinie lasów deszczowych
Zwierzęta?
Hmm... wie pan od tego są instytucje jak zoo na przykład
Tam już widać wioskę aborygenów
Relikt przeszłości
Dlaczego tańczą?
Nie wiem może proszą o deszcz czy coś w tym stylu

Ten z boku płacze?
Rzeczywiście
To nic pewnie go coś boli
Chodźmy
Tam dalej widzi pan miasto nowoczesne z perspektywami rozwoju
Jeszcze tylko przejdziemy te dzielnice nędzy a zobaczy pan teatr i lunapark
Tam wysoko
Gdzie sięgają dachy wieżowców
Można zobaczyć miasto jak z wieży Babel
Wejdziemy?
Nie? Pan woli z ziemi oglądać gwiazdy?
Jak pan chce
Panie Jezu

Ja wchodzę

Lukrecja

JULIA URBAN, Publiczne LO im. Jana Pawła II Sióstr Prezentek w Rzeszowie

Prześwitująca

stawiając krok przed krokiem
na szklanym korytarzu
codzienności
absurdem jest patrzeć pod nogi
i nie dostrzegać
miłości

Koleżanka w tiulowej spódniczce

leżała bezszelestnie na owalnych kamykach
za nią bezdźwięcznie szumiał ocean
głębokich barwnych myśli

miała czerwone trampki
srebrne podeszwy –
emanowały marzenia

podparta na łokciach
ze wzrokiem omiatającym
chyba kapryśnego pięciolatka
nad którym się pochylała

z miłością na ustach

Maniek

NATALIA SZUMNA, Gimnazjum Sióstr Prezentek W Rzeszowie

Szkło

Chyba nikt się nie pogubił tak jak my
w swej niezdolnej pustce całkiem sami
Ja za szkłem
ty za szkłem
nawet oczy mamy już ze szkła
od ciągłego wpatrywania się w puste kropie
Wypij więcej kochanie
Ile może przynieść ranek
skoro noc ci szczęścia nie przyniosła
Wypij więcej
baw się szybciej
tańcz sobie
z pijakami
tamtych epok
Nie żałuj srebrnych liści
i kamieni drogich kruszców
jeśli chcesz się poczuć
nieśmiertelnie
To na razie
A na wieczność
jest
jak mówię
Zostanie po nas pusty stółek przy barze
i odłamki szklane w czyimś sercu
tak głęboko
nie zagasłe

Corrado

KONRAD KUSTROŃ, I LO w Krośnie

Do nikogo

gdy wychodziłeś
mogłeś trzasnąć drzwiami

wiedziałeś że zamykają się tak dyskretnie

wybiegłbym za tobą
przemoknięty łzami

wiedziałeś że czasem płaczę we śnie

mogłeś upuścić szklanę

odkręcić wodę i włączyć czajnik
zaświecić światła w całym domu
nastawić budzik

wiedziałaś że lubię spacerować nocą
i śledzić satelity w kosmosie

mogłeś zostawić
słowo na kartce
odciski opuszków na przepoconej kołdrze
zapach tanich perfum i przesłodzonej kawy

znów popełniłeś
zbrodnię doskonałą
bez świadków naocznych
i narzędzi zbrodni
a chciałem ci tylko powiedzieć

szerokiej drogi

chciałem wydusić z siebie
wszystkiego najlepszego

Przedsmak

wyczytaj z moich oczu
dwa trzy słowa
lub też tyle ile tylko chcesz

czytaj mnie na różne sposoby
od wewnątrz do wewnątrz
na zewnątrz mnie mierz

wydedukuj z ruchu mych słodkich ust
czy beznamiętnych warg
nazywaj jak chcesz
tylko nie tłumacz języka gestów
na język obietnic wiązań i świec

przed spróbowaniem mnie w cynamonie
skosztuj czystego
mnie na surowo
we własnym sosie swych własnych draństw

i nim wybierzesz mnie selektywnie
spośród zbyt miękkich i przypalonych
gdy już podniesiesz tę dłoń pełną przypraw
napełnij mnie winem kurkumą lub solą
niech mnie spróbuje

ktoś inny

na nowo

Tramp

DAWID KRÓL, ZSO nr 2 w Rzeszowie

Spokój

Porozmawiajmy milczeniem,
wymieńmy dla uspokojenia
kilka lub więcej spojrzeń
przez zamknięte oczy
głęboko oddychajmy
ale każdy dla siebie

Wsluchajmy się w tętno
miejskiego poranka
wzajemnie z osobna
nie pytając serc o nic
pozwólmy się im wygadać

Dzielmy swoje bóle
radości i znużenie
poczujmy niepokoje
 optymizm i niedosyt

Raczy się uściskiem
ogłuszonych kochanków
elokwentna cisza.

Tylko tyle

Dosyć!
chęć spokoju

nie słodkiego ukojenia
w objęciach naiwnych nadziei
opatrujących
każde zranienie dniem

ani sztucznej rzeczywistości
obrzydzącej pięknem
nierealnych chwil

żadnego ocierania
nocnych łez przy modlitwie
którą pluję życiu

w twarz
jak rozpieszczone dziecko

chcę spokoju
obojętnej czystej radości

Myszka II
DARIA BEŁCH, Katolickie LO w Krośnie

Second-hand

Sklep z sercami używanymi!
We wtorki nowa dostawa towaru!
Wampiry uczuć pchają się łokciami.
Szukają błękitnej krwi.
A na stosach obojętności i samotności
leżą.
We wszystkich możliwych kolorach:
(czerwieni) miłości, (zieleni) zazdrości
(czerni) rozpaczy lub nienawiści.
Wszelkie możliwe fasony
od niemodnej tandety
rozczenia, współczucia, słabości.
Po najnowsze kroje
zobojętnienia, pogardy i egoizmu.

W zależności od kondycji emocjonalnej
i gatunku materiału,
serca zostają kupione za bezcen
lub tułają się dalej.
Na nową dostawę towaru.

Kolory na ścianie

Zamknęłam na chwilę czas
kolorowym mrugnięciem oka
w szklanych ramkach
podziwiam jego piękno
i ulotność (slogan wytarty)
on próbuje się wymknąć
biegnie
uwolniony wspomnień
kluczem
zatrzymuje się z zadyszka
serca
i powraca zastygając
nie lubi,
kiedy nie zwracam na niego uwagi

Sanglier

BARBARA RÓŻANSKA (sprawdzić to „ń”) , III LO w Rzeszowie

Pożegnanie

leć
nie wstrzymam cię
za tobą
kluczem
słone przyjaciółki
resztki moich
marzeń

lećcie jedna
za drugą
by nie zostało
po mnie
już nic
z człowieczeństwa

Pamięć

przychodzisz
by odejść
w zapomnieniu
poznajesz
obserwujesz
badasz

i opuszczasz
laboratorium
choć nie
ukończyłeś
żadnego
z doświadczeń

rękawem ocierasz
łzy - najęte panny
płaczki
nad grobem wspomnień
z triumfem
opuszczasz
cmentarz
nie wiesz
że one
zmartwychwstaną

Drzemka

zamykam okno

myślą pragnę odtworzyć archaizmy
zasuwam powieki ciemną zasłoną
a mojej wizji nadaję nowe kształty

ubieram jeszcze raz marzenia
tym razem dobiorę odpowiednie dodatki
usunę niewymierności
podkreślę jeszcze raz to co ważne
stworzę mocną nić z naszych dłoni

lecz kiedy wstaje słońce
muszę je wpuścić do wnętrza
rzeczywistość zaalarmowała
znowu zasnęłam?

Wypalenie

mówią że
upadek
jest kluczem
tworzenia

u mnie
tabula rasa
wypełnia się
czymś co
ma jedynie
przypominać
atrament

rękopisy
nie płoną
dla mojej
hańby

Łowca Słów

MICHAŁ BASAMON, II LO im. Lisa-Kuli w Rzeszowie

Pajęczyna tchnień lichych...

teatr miliona marionetek
a w teatrze ja
godzinami przędę pajęczynę życia
pajęczynę przędzie wiatr
i oglądam wciąż tę scenę

niteczek bojaźni

a kilometr wstecz
zawiazki wspomnień
a kilometr naprzód
brzęczące plany
a pająk to ty...

ja gram
uciekam
ostatkiem sił na scenie się kryję
by nie zgubić
człowieczeństwa
by schować je niczym skarb
i na cztery spusty zamknąć

a muzyka wciąż gra
i tli się światło
a ja niczym ćma
i gram
na krawędzi obłądu
plastikowych wrażeń
narzuconych oczekiwań

już mnie masz!
tak wiję się i kleję
a ty zacierasz łapki
no skacz!
jedz!
nim wyrwę się z pułapki!...

czas płynie
a ja
w teatrze złudzeń
ciągle siedzę...

Ecce artifex

Ecce artifex!
Spójrz jak stoi
Ogłocony ze złudzeń
Głębi spragniony...

Ecce artifex!
Natura zmysłów
Aleja jesiennych liści
Strąconych przez wiatr myśli...

Ecce artifex!
Nie dojdzie go ciepło ni czułość

Jedynie...
Promienie zimna bijącej skały...

Ecce artifex!
Martwy dla świata
Żywy barwami
Duchowego
Porcelanowego tchu
Wnętrza mrówki
Wiosny wnętrza...

Ecce artifex !
Ecce... ARTIFEX!
Spoliczkuj go!...
No już!...

Pesiolino
ANNA WÓJCIAK, LO im. M. Kopernika w Tarnobrzegu

Pustka

Powieki palą łzy
gorzkie łzy

Głowa zaraz pęknie
istny chaos

Ręce opadają bezwiednie
z bezsilności

Uszy już nic nie słyszą
bo i po co

Nos nie czuje
nic nie pachnie jak dawnej

Nogi nie mają już siły
by iść naprzód

Płuca pracują
już ostatkiem sił

Serce
ono nie wie już nic

Jan Nowak zwany Kowalskim
JOANNA LEJA, ZSOiE w Przeworsku

Ażurowa egzystencja

Czasem lepiej być wiatrem
lub czyimś oddechem -
cichym, samotnym i marnym,
jak gdyby pustym echem.
Albo którymś spojrzeniem,
tym kompletnie bez wyrazu
i nieznanym autorem
nieznanego obrazu. Być jedynie szarym cieniem
i po ranie małą blizną.
Dać się pożreć Nicości,
stać się małą, maleńką Malizną.
Istnieć ale nie być,
oddychać ale nie żyć.
Odejść
Zapomnieć
Zniknąć..

Ariadna
ADRIANNA LIEBCHEN, III LO w Rzeszowie

Balkon

Uciekam od ludzi mi bliskich
Nie patrzę w oczy przechodniom
Pustka
Samotność
Niechęć

Zostaje mi tylko balkon
Furtka do ogrodu myśli
Analizuję
Pytam
Zamykam się

Nie przeszkadzaj

Milczenie
Tłumione pragnienie
Westchnienie za ciepłem rąk
Magią spojrzenia
Cicha prośba o obecność

Wewnętrzna pustka
Zapychana watą iluzji
Tajemniczy brak

To przeszłość
Zamknięty rozdział przykrew historii

W głowie piosenka
Setki słów
I tylko jedno ważne zdanie
Przemyślane
Wypowiedziane

Agapi
ALEKSANDRA SKIBA, III LO w Krośnie

Pragnienie

Obejmij mnie
swym uśmiechem
w ciepłą noc
nad brzegiem morza

obejmij mnie
swym spojrzeniem
popatrz w głąb
i wołaj me imię

obejmij mnie
swym oddechem
otul kołderką cichych słów
szepcząc mi do ucha

obejmij mnie
swym dotykiem
zostaw żar
na mej skórze

...zatrzymaj się...

Karol
KAROLINA RACHWAŁ, ZSP nr 5 w Krośnie

Nie wystawaj pod drzwiami ze sztucznymi kwiatami
Nie mów do mnie pięknymi słowami
nie obiecuj mi wspaniałej sukni z katalogu
nie wyrzucaj wiązanki słodkich słów od progu
nie patrz ze mną w gwiazdy o północy
nie śnij o pięknej przyszłości po nocy

nie mów mi dzień dobry i nie mów dobranoc
nie zapewnij że za rok będzie tak samo
nie przynoś czekoladek kupionych w pośpiechu
nie kłóć się ze mną, lecz doprowadzaj do śmiechu
nie mów mi że kochasz mnie ponad życie
nie pisz mi wierszy na ostatniej stronie w zeszyście
nie patrz na mnie, jak na przyszłą matkę swoich dzieci
nie karm mnie miłosną tandetą kolorowych śmieci
nie rób nic co mogłoby być nudne
nie rób też tego co wydaje się trudne
nie trzymaj mnie za rączkę jakbym miała się potknąć
nie bój się podejść i nie bój się dotknąć
nie czyni nic co mogłoby ten chory układ zburzyć
nie, lecz pozwól swojemu ciału się w tej chorobie zanurzyć
nie, tak jest dobrze. Zostawmy sobie ten kawałek szczęścia
i pozwólmy narastać tej chwili napięcia.

Nike

ALEKSANDRA STANEK, II LO w Jaśle

Moje marzenia

marzenia
powykręcane
naiwne
nierealne
i
zakryte

moje marzenia

powykręcane bo
zaplanowane

naiwne
bo
zbyt mądre

nierealne
bo
możliwe do spełnienia

zakryte
bo
każdy je ogląda

marzenia

Rysunek

narysuję kosz
powrzucam do niego wspomnienia

narysuję rzekę
wyleję do niej myśli

narysuję las
zostawię z nim ciszę

narysuję studnię
utopię marzenia

narysuję ognisko
spalę zdjęcia

narysuję stół
i postawię na nim świecę

narysuję lustro
by stłuc odbicie

narysuję labirynt
zgubię w nim życie

narysuję dom
by wiatr mógł go zburzyć

narysuję krzesło
lecz nikt na nim nie usiądzie

narysuję mgłę
by nie widzieć innych twarzy

wreszcie narysuję kawałek ziemi
by móc zakopać czas

Czasami płaczę

płaczę
bo łzy
wyciskają wszystkie emocje

płaczę gdy me ciało umiera
gdy znów się rodzi
i gdy mam coś do powiedzenia
tylko nie znam słów

płacę
a każda łza jest inna
każda ma swoją historię
ściekając po zakamarkach twarzy
wytycza nowe ścieżki
zmywa zepsutą powierzchnię

płacę
wtedy czuję się wolna

Liryczny Eros
JAKUB DZIERŻAK, ZSE w Rzeszowie

Uczuciowy wzrok

mówisz - gdyby życie było jeden poziom prostsze
gdyby kamień na kamieniu leżał jak należy
mały żuk nie był przez słonia deptany
a skowronek zagłuszany przez kruki

gdyby Bóg codziennie zsyłał złotą mannę
lub banknoty rozmnażał w portfelu
a wiatr nie przewracał domów biednych ludzi
i pożar lasów nie palił

szukasz złotych kamieni wśród piasku
najcenniejszych pereł wśród bursztynu
pragniesz najśłodszych chwil wśród cichego wiatru
ciągle gonisz za skarbem w tajemnicach morza

krótki mamy wzrok, tak ułomne oczy
na żądze podatne, na połysk metaliczny
ciągle widzieć chcemy, a wciąż nie widzimy
skarbu, który znaleźć tak pragniemy

ja mówię - gdybyś tylko zamienił z sercem oczy
gdybyś miłością ogarnął świata horyzonty
oddechem radości nadawał kolor sekundom
ciepłym spojrzeniem jak manną ludzi karmił
zaspokoiłbyś zmysły, a i serce byś nakarmił
mógłbyś paść się jak owca na wielkim pastwisku
byłbyś nieśmiertelny, w światło obleczony
duchem doskonały, ciałem potężniejszy

więc szukaj skarbu tam, gdzie rdza nie kaleczy
gdzie cudowne złoto traci na wartości
gdzie naszyjnik ze szmaragdów znaczenia nie posiada
a aniołowie darzą cię ambrozją

PROZA

I NAGRODA

Zielony Mag

TOMASZ KIDA, III LO Rzeszów

Facebóg

Jeden opowiadający? Przecież „wszystko jest względne”. Dopiero wiele opowieści sprząga się w jedną historię.

„Każdy jest bogiem” - taki napis można zobaczyć na każdym portalu, na każdym budynku, na każdym profilu. Ja też nim jestem. Dlatego oto piszę ten blog, który jest oznaką mojej boskiej twórczości, a także przeżyć i uczuć.

Kiedyś nie każdy był bogiem, a jedynie nieliczne jednostki. Było to przed wynalezieniem internetu. Teraz wszyscy podpięci są do Macierzy - jednego wielkiego portalu społecznościowego. Każdy nasz ruch śledzi tysiące kamer i zapisuje **je**. Bogowie oglądają i komentują to na globalnej tablicy. A wszystko po to, aby osiągnąć dwa wspólne cele - Zjednoczenie ludzi, w którym każdy będzie myślał i odczuwał to samo, by wszyscy stali się jednakowi, drugim zaś celem jest zniszczenie Anymacous. Ta grupa hackerska pod koniec 2011 roku zaatakowała portal Facebook - prekursora współczesnej Macierzy, niszcząc konta wielu użytkowników. Od tego czasu coraz więcej prywatnych danych udostępniano członkom Macierzy tylko dlatego, aby zlokalizować tę organizację. Niestety, pomimo upływu lat nadal się to nie udało. Ci terroryści nie poprzestali na tym, odpowiedzialni są także za wiele innych katastrof. Przerwy w dostawach prądu, kasowanie wpisów użytkowników, czy niszczenie upraw czucioproszków, to jedno z ich dzieł przeszkadzających w Zjednoczeniu. Deletyzacja tych hodowli to była prawdziwa katastrofa”. Wszyscy, by poprawić sobie nastrój sięgają po czucioproszki - powodujące ekstazę, odprężenie, ból - a także wiele innych uczuć, o których można sobie zamarzyć. To najlepsza rzecz od czasu wynalezienia czytnika myśli wysyłającego do Macierzy wszystko, o czym sobie pomyślę. Właśnie po zażyciu czuciotabletki spotkałem ją. Opiszę, to moje wielkie przeżycie.

Byłem wtedy na cybertece. Wszyscy w grupie tańczyliśmy technotaniec pod ciągle wyświetlającymi się hasłami: „Jesteś swoim profilem”, „Używaj ciągle nowych rzeczy”. Wreszcie muzyka stała się wolniejsza. Podszedłem do niej i zaprosiłem ją do obmacywańca. Potem poszliśmy razem do ubikacji, gdzie uprawialiśmy sex. Po piętnastu minutach znaleźliśmy się na balkonie, z którego roztaczał się widok na metropolię. Niebo miało kolor ekranu nastrojonego na nieistniejący kanał. Wieżowce jarzyły się neonami i napisami. Na ich szczytach znajdowały się wille adminów, podstawy budynków zaś były skąpane w mroku.

- Jestem Haxor39, a ty?

- Buttona2153

- Ładne imię.

- Tak, miałam duże szczęście podczas losowania imion w wychowalni.

- Moje najlepsze wspomnienia z niej to zabawy we flirtowanie, w które musiał się bawić każdy w wieku od 5 do 11 lat.

- Tak, ja też to bardzo ciepło wspominam. O późniejszym życiu chciałabym zapomnieć - mieszkalam na Dole.

Opowieść wypływała z jej ust z prędkością najszybszych łącz do Macierzy. Gdy próbowałem jej przerwać, ona nie zgadzała się na to i kontynuowała swoje uzalanie się nad sobą.

Zawsze dziwiłem się, dlaczego Dolni tak narzekają na warunki, w jakich żyją. W końcu oni też są bogami, a miejsce ich zamieszkania jest takie samo, jak każde inne. Uczestniczą w cybertekach i zażywają czucioproszki. Admini mają rację - Murzyni i Azjaci rzeczywiście powinni być izolowani ze względu na swoją odmienność przeszkadzającą w Zjednoczeniu. Zauważyłem w tym momencie, że Buttona2153 też miała nieco hinduskie rysy twarzy, ale nie przeszkadzało mi to za bardzo.

- Wyrwałam się stamtąd dopiero dzięki znajomości z pewnym adminem - kończyła swoją opowieść.

- Porozmawiałabym z tobą jeszcze, ale jestem umówiona z koleżankami.

Po tej rozmowie spotykałem ją jeszcze parę razy. Tańczyliśmy razem, a potem szliśmy tam, gdzie robiliśmy to zawsze. Za którymś jednak razem zrezygnowała - powiedziała, że jest już mną znudzona. Od tego czasu często widziałem ją z innymi chłopakami. Ja oczywiście też balowałem. Podrywałem, bawiłem się na całego. Jednak na nic, dalej bardzo chciałem jej opowiedzieć o sobie parę rzeczy. Zaryzykowałem. Kiedy próbowałem to zrobić, to usunęła mnie ze znajomych. Potrzebowałem rozmowy. Chciałem pomówić o tym ze swoimi kumplami, lecz oni radykalnie zmieniali temat. Opowiadali o swoich problemach w pracy albo o czucioproszkach, że nie zapewniają im już takich samych doznań. Tylko co mnie obchodzi ich trudności? Ja mam przecież własne. W tym pytanie, „Kiedy będę mógł uprawiać z nią sex?”

Tak, wiem, że Regulamin zakazuje łączenia się w długotrwanie związki, bo przecież „Każdy jest dla każdego”. Tak myślę sobie.. w końcu jestem bogiem! Dlaczego, więc ona nie może być przy mnie wtedy, kiedy będę tego potrzebował? Wszystko zmienia się tak szybko.... No i co z tego, jeżeli będę ją miał, skoro umrę?, Chcę wziąć ze sobą tyle rzeczy, lecz nie mogę. Nawet pomimo tego, że jestem wyjątkowy. Od kiedy tylko się zetknąłem ze śmiercią - jako dziecko zostałem zabrany do umieralni - zaczęło mnie to zastanawiać. Pamiętam, że gdy ktoś umierał, dostawaliśmy słodycze, więc śmierć to pewnie „fajna rzecz” - przynajmniej tak mi się wydawało. Hasła informują, że jest ona „ostatecznym zjednoczeniem”. Ja bym wolał jednak jednoczyć się razem z wszystkimi moimi rzeczami, w tym z nią. Tylko że Buttona2153 uniemożliwia utrzymywanie „standardowego poziomu zadowolenia”.

Jestem wściekły. Tak. Na nią.

Czekam na komentarze.

Komentarze

Koleś, weź te czucioproszki na odprężenie - pomoże ci :P

Elvis77

Twoja historia jest taka sweet!!!! Chciałabym Cię bliżej poznać : *.

Sobohoe

Ble, ble, ble. Jedna g**niana paplanina. Do kitu! Żal...

3Woźniak57

Dobra impreza, dużo foczek i po sprawie:)

Cybermesjasz

Przecież chodzenie w parach przez dłuższy czas to symbol epoki przed internetem. Chcesz się cofnąć do etapu człowieka?

New Spencer

No i kolejny zaczyna kwestionować zasady Macierzy. Skąd oni się w ogóle biorą?

Odpocząłbym sobie wreszcie od tych ich durnowatych zapisków. Jeden chce jeszcze partnerki

tylko dla siebie. Może jeszcze będzie chciał z nią wychowywać dziecko? Trzeba będzie zlikwidować tego Haxora³⁹. I skąd mu się wzięły te myśli o śmierci? Ludzie też często łączą miłość ze śmiercią przez popełnianie samobójstw, małżeństw na całe życie i myśli o swojej egzystencji. Dobrze, że pozbyliśmy się takich nekrofilskich, sprzecznych uczuć.

O! - kolejny! Ten znowu uważa, że nie potrzebuje nowych rzeczy. Stwierdzenie, że życie człowieka jest łatwiejsze, niż nasze, jest błędem. I jeszcze mają czelność narzekać! Co prawda, mój znajomy mówił mi, że to takie chwilowe wahania nastrojów. Faktycznie, wszystko wracało do normy. Jednak lepiej być przezornym, gdyż burzycielskie idee mogą się szerzyć, co spowoduje kolejne kasowanie beznadziejnych stron. Jednocześnie trzeba pokazać innym moją władzę - to, że mogę zabijać innych. Jestem adminem, jestem nadbogiem.

II NAGRODA

Kostek

PIOTR KOSTAŃSKI, I LO Krosno

To jest wojna, żołnierzu!

W niewielkim gabinecie było niezwykle duszno. Ostatnie promienie zachodzącego słońca leniwie sączyły się przez żaluzje.

- Synu, czy chcesz wiernie służyć ojczyźnie, walczyć o nią i w razie potrzeby oddać dla niej życie? - powtórzył pytanie stary generał, siedzący na noszącym już ślady użytkowania skórzanym fotelu. Odwróciłem wzrok od zdobionych ścian medali i spojrzałem na niego. Mimo podeszłego wieku i pooranej bliznami twarzy wciąż wydawał się krzepki niczym dwudziestolatek.

- Tak, sir. Wstąpienie w szeregi marines jest moim marzeniem z dzieciństwa.

- Więc załatwione. Od jutra zaczynacie trening, żołnierzu. A teraz maszerujcie do swojej kwatery. Pobudka o 5.00.

Huk. Strzały. Kolejny huk, tym razem zdecydowanie bliższy. Słyszałem przyspieszone bicie serca Collinsa, który wraz ze mną przyciskał się do czegoś, co pozostało po wielorodzinnym domu. Tuż obok za podobnym fragmentem chował się nasz dowódca, porucznik McMillan. Na jego czole srebrzyły się kropelki potu. Błękit nieba przeszywały smugi przelatujących samolotów. Wszechobecny kurz drażnił, wbijał się w oczy, wchodził do nosa i ust. Wtem usłyszałem warkot silników i nad nami pojawiły się helikoptery.

- Żołnierze, na nas czas! - Krzyknął porucznik, próbując przebić się przez ogłuszający hałas. - Przed nami stacja telewizyjna, to tam zabunkrowały się pieprzone mahomety. Chłopcy z dziesiątej lotniczej będą nas osłaniać. Może być gorąco, ale to jest właśnie chleb powszedni marines. Ameryka liczy na was. Ja też na was liczę.

Chwilę później zapanowało piekło, jakiego nie widziałem nigdy wcześniej i nie zobaczyłem już potem ani razu. Świsty kul. Wybuchy granatów. Krzyki rannych. Nagle usłyszałem straszny gwizd pozostawiający na swej drodze pasmo dymu i nade mną jeden z helikopterów zamienił się w kulę ognia, która spadła z łoskotem, rzeźbiąc kolejną dziurę w dachu jakiegoś

niezbyt wysokiego bloku. Lecz my byliśmy marines. Dla nas to chleb powszedni. Parliśmy dalej.

- Dawać ładunki, wchodzimy!

Łomot wywalanych drzwi. Krzyki po irakijsku. Byłem w tym państwie od 6 miesięcy, a wciąż nie potrafiłem się nawet przedstawić. Nie podobał mi się ten język, wydawał mi się ostry i jakby pozbawiony pozytywnych emocji. Tak, jakby został stworzony do ogłaszania wyroków śmierci i wypowiedania wojen.

Nawet „kocham Cię” w ich wydaniu brzmi jak „zdechnij w piekle”. Uśmiechnąłem się krzywo do swoich myśli. Teraz jednak nie było na to czasu.

- Zabarykadowali się w tym studiu! Brandon, ubezpieczaj mnie! - krzyknął porucznik, po czym wyważył drzwi silnym kopniakiem.

Nie wiem, jak długo to trwało. Czas nie miał wtedy znaczenia. Na tę jedną chwilę stanął w miejscu. Liczyło się tylko to, by nie dać się zabić. Czy bałem się śmierci? Tak. Nie chciałem umierać. Więc strzelałem. Wszyscy strzelali. Stojąc przed dylematem „zabić czy być zabitym?”, niezależnie od narodowości i wyznawanej religii, wszyscy wybierają przeżycie. Tak właśnie skonstruowany jest człowiek, w krytycznych chwilach na bok odchodzą odruchy miłosierdzia. Decyduje instynkt. Jednak wtedy zdarzyło się coś, czego nie zapomnę do końca życia i co zmieniło mnie na zawsze.

- Ne strzelac! - Wykrzyczał zza przewróconego stołu brodaty Irakijczyk, łamiąc angielszczyznę z rosyjskim. - Ja poddamę! Poddaję!

- Ty padalcu! - Porucznik McMillan wprawnym ruchem złapał go za gardło i przydusił do podłogi. - Ty pieprzony padalcu! Masz czelność prosić o litość? Z rąk twoich rodaków ginęli Irakijczycy i Amerykanie, kobiety i dzieci, niewinni ludzie! I ty się teraz poddajesz?! Zapłacisz za to! - krzyknął, po czym załadował mu mocnego kopniaka. Zatrzeszczały pękające zębra. Przyłączyło się do niego kilku innych żołnierzy. Po chwili Irakijczyk leżał już półprzytomny w kałuży krwi.

- Już nigdy nie będzie tu Iraku. Teraz jest tu Ameryka.
Brandon - Nasz dowódca spojrzał na mnie - zastrzel go.

- Sir, jak to, bezbronny..? - odpowiedziałem zdezorientowany.

- Strzelaj!

- Ale konwencja...

- Mam w dupie konwencje! Mamy tu wojnę! Strzelajcie, żołnierzu, to rozkaz!

2 miesiące później...

- Uwaga, pragnę wznieść toast! - zakrzyknął wesoło wujek Tom. — Za naszego małego Brandona, bohatera wojennego, odznaczonego Medalem Honoru przez samego prezydenta!

- Za Brandona! - podchwycili wszyscy i stuknęli się kieliszkami.

III NAGRODA

MI

PIOTR KĘDZIERSKI, LO im. KEN w Dynowie

Zmierzch Straży

Gdziekolwiek by się nie udał, ona podążała za nim. Zimna, pełna gniewu i pokory - Sprawiedliwość. Razem ze swą towarzyszką Śmiercią i bratem Pokutą, przemierzał lądy i oceany. Kogokolwiek by nie spotkał, oceniał go. Bilans moralny. Dobro - zło. Dwie siły kształtujące świat, tak stare, jak on sam.

Kiedy setki wieków wcześniej powstał płaski świat, jeden z wielu, przestrzennych i płaskich, od razu narodziło się zło. Posłano tam więc rasę mądrych i dobrych istot, które miały pokonać zło i zakuć je w kajdany zapomnienia, by nikt nie dosłyszał jego ryku. Wówczas założono zakon mścicieli. Potężna rasa wykonała swoje zadanie i musiała liczyć się z odejściem z płaskiego świata. Nie chciała jednak zostawiać go samemu sobie. Dała więc początek Strażnikom. Ludowi złożonemu z istot potężnych i pozbawionych emocji.

Przez wieki Strażnicy walczyli, karząc zło i ginęli w imię swoich ideałów. Tak odchodzili wszyscy, aż pozostał tylko jeden. Mądry mściciel wiedział, że i jego czas mija. Wybrał dla siebie ostatnie zadanie. Bez Strażników płaski świat, zwany przez jego mieszkańców Kareb, zostałby wystawiony na działanie sił zła, i w krótkim czasie unicestwiony. Wojownik sprawiedliwości postanowił stworzyć nowe pokolenie Strażników, toczących bój w nieustannej walce ze złem, dla utrzymania kruchej równowagi, podtrzymującej Kareb przy życiu.

Ostatni Strażnik jechał na białym koniu wybrzeżem morza. Obok niego spadał w dół klif, oddzielając go od bezmiarów wód. Gwiazdy świeciły jasno, jaśniej niż zazwyczaj; księżyc był w pełni. Wojownik odziany był w piękną zbroję z białej stali, okutej na brzegach złotem. Nagolenniki i zarekawia miał długie, wychodzące poza stawy; obojczyki i nabiodrniki były do nich dopasowane, nie odkrywając nawet milimetra skóry. Na nogach miał wysokie kozaki z cholewą skręconą na dół, podobnie rękawice, sięgające daleko za nadgarstek. Głowę osłaniał hełm z wysokimi ozdobami w miejscu uszu, stylizowanymi na orle skrzydła; na twarzy - srebrna maska, odsłaniająca tylko oczy, żarzące się chłodnym, białawym blaskiem. Przy boku, u pasa uwiązany miał długi, prosty miecz, stanowiący mu jedynego druha. Zarzucona na plecy biała peleryna lśniła w blasku księżyca, miotana porywistym wiatrem.

Miał na imię Hagligal. Przynajmniej tak nazywano go w czasach, gdy jeszcze ktokolwiek znał to imię. Dla współczesnych mu mieszkańców Karebu, był znany pod imionami: Mściciel, Białe Widmo, lub Nocny Wojownik. Wzbudzał wśród nich strach, a niekiedy nawet nienawiść. Nikt z nich nie wiedział, że bez jego poświęceń nie żyłby teraz wolny.

Hagligal mknął na swym rączym rumaku, niczym cień próbujący dogonić promień słońca. Bez wytchnienia, z dziką energią w spojrzeniu. Piana buchnęła z końskiego pyska. Strażnik mimo to zaciął ostrogami.

Ktokolwiek zobaczyłby go w tej chwili, musiałby pomyśleć, że to upadły bóg błędzi po świecie, szukając zemsty i choć zna swoich nieprzyjaciół, nie może oderwać się od ziemi, by wzlecieć i odebrać swą sprawiedliwość.

W końcu ujrzał swój cel. Małą szalupę na horyzoncie. Szybko spiął konia i rozejrzawszy się, puścił się ku wąskiej ścieżce, w dół klifu.

Wiele lat próbował zgromadzić wojowników, którzy jak on, gotowi będą oddać życie i dusze walce z niepokonanym mrokiem. Minęło wiele czasu, wiele nieudanych prób i wojen, w których niejednokrotnie musiał unicestwiać niedawnych uczniów i przyjaciół. Moc, jaką chciał im przekazać, była wielka, lecz nie wolno było jej używać dla własnych celów, jedynie do walki ze złem. Tak wielka ofiara była konieczna, bo pokusa tkwiąca w użytkowaniu owej mocy była równie wielka.

W końcu, po kilku wiekach, gdy Hagligal zaczynał już powoli wątpić, odnalazł młodego wojownika, który określił się, jako Wygnaniec. W swoim krótkim życiu wiele przeszedł i wielkie potęgi wiele mu odbierały. Mimo to nie szukał zemsty. Rozumiał, że zabijając jednego złego człowieka, zajmie jego miejsce i po jakimś czasie również zostanie stracony przez innego wojownika.

Wygnaniec został nauczony władania mieczem i włócznią, Hagligal dał mu również część swej mocy. Wiele dni uczył go posługiwania się nią i kontrolowania własnych pobudek. Wówczas udało mu się odnaleźć również kilkunastu innych, podobnych rekrutów, jednak nadal największe nadzieje budziły się weń na myśl o młodym uczniu, któremu nadał nowe imię: Ainer.

Ainer uczył się szybko, jednak coraz mniej czasu poświęcał na trening. Bardziej fascynował go piękny i wielki świat, który ujrzał po raz pierwszy podczas podróży z Hagligalem. Coraz mniej cieszył się z perspektywy rychłego dołączenia do wielkich Strażników, którzy nie znają życia poza służbą. Wiedział, że nie wolno mu tego odrzucać. Szczególnie teraz, kiedy zakończył już trening i zaczął przygotowania do pasowania na Strażnika.

Po jakimś czasie zawędrował do wielkich bibliotek. Rozpoczął studia nad historią Straży i natknął się na opis zdrady. Młode serce, ciekawe świata nie zdawało sobie sprawy z niebezpieczeństwa słów, które poznawało. Księgi mówiły o potężnym wodzu, który przystąpiwszy do strażników, zapragnął całej ich mocy. Po krótkim czasie wódz uzyskał ją i na jeszcze krótszą chwilę stał się najpotężniejszą istotą, stąpającą po Karebie. Później dopadli go Strażnicy i zgładzili.

Trudno powiedzieć, czy ze względu na młodzieńczą ciekawość, czy na wspaniałość słów, którymi był opisany, Ainer żywił coraz większą sympatię do tajemniczego wodza. Udało mu się nawet odnaleźć fragmenty jego dziennika, w którym zapisana była ścieżka do osiągnięcia pełni mocy.

Hagligal spiął konia, przeskoczył mały wąż i powoli sprowadził go na dół. Ścieżka była wąska, kamienna, prowadząca do niewielkiej plaży. Gdy dotarł na dół, zsiadł z konia, ściągnął mu siodło i wodze. Puścił zwierzę wolno, gdyż wiedział, że nie będzie mu już potrzebne. Koń puścił się galopem wzdłuż plaży.

Wojownik został sam. Znowu. Można rzec, że lubił samotność, ale nie było to upodobanie z wyboru. Długie lata spędził wśród przyjaciół, ale od kilkadziesiątu pozostawał sam. Można by pomyśleć, że długowieczność nie jest tym, co daje człowiekowi szczęście. Długowieczność nie oznacza nieśmiertelności, ale Hagligal jakimś cudem wychodził z każdej opresji, stając się za każdym razem coraz silniejszy. Mogłoby się wydawać, że ten mityczny wojownik jest już marą, duchem, który bez śmierci utracił swoją materialność, jednak Hagligal żył. I właśnie życie było dla niego cierpieniem.

Stojąc samotnie na plaży odpiął pelerynę, rzucił ją na skały; stanął w lekkim rozkroku, poprawił hełm i pas. Wreszcie dobył broni i skamieniał ze spuszczonego na piasek ostrzem.

WYRÓŻNIENIE

Mim

MICHAŁ MUSIAŁ, Zespół Szkół Elektronicznych w Rzeszowie

Jesienne wspomnienie

Przywiało wczoraj jesień. Tego roku zaczęła się wyjątkowo deszczowo i wietrznie. Całą noc krople deszczu dobijały się do mojego parapetu, nie dając mi zasnąć. Wiatr szumiał w koronach drzew i wydobywał z ciemności dźwięki wywołujące dreszcze. Może oglądam zbyt wiele horrorów, bo mimo tych kilkudziesięciu jesieni, które mam za sobą, wyobraźnia wciąż płata mi figle. Efektem nocnej zawieruchy były zniszczone kwiaty na balkonie sąsiadki. Słyszając, jakimi słowami powitała poranek, przypomniałem sobie studenckie lata, kiedy większość przebudzeń wyglądała bardzo podobnie i uśmiechnąłem się. Oczywiście, nie wszystkie poranki były takie złe.

Nad ranem roz pogodziło się, nawet słońce wyszło zza chmur. Zapowiadał się w miarę ciepły i słoneczny dzień. Zapewne jeden z ostatnich takich. Mając wolny poranek i tak słoneczną pogodę nie musiałem długo zastanawiać się nad tym, co będę robił przez najbliższy czas. Wiedział to również Abakus. Patrzył na mnie wielkimi, smutnymi oczami, przechylając na bok swój wielki łeb, a ślina delikatnie kapała na smycz, którą trzymał w zębach. Czasem mam nieodparte wrażenie, że mój labrador lepiej wie, jaki mam grafik na dany tydzień, niż ja sam. Zostawiłem więc niedopitą kawę i założyłem mu smycz, po czym wyszliśmy na spacer.

Przechadzając się alejkami pobliskiego parku, moją uwagę przykuł starszy pan. Siedział na ławce z otwartym na kolanach albumem ze zdjęciami, ale na nie nie patrzył. Zamkniętymi oczami wpatrywał się w słońce, a na jego twarzy tańczył lekki rozmarzony uśmiech. Miał na sobie imponujący, choć nieco zniszczony, długi płaszcz wojskowy.

- Mógłbym taki mieć. Pomyślałem sobie. I szyderczo dorzuciłem w myślach: - Gdybym tylko chodził do lumpeksów, z pewnością bym sobie taki sprawił.

Wiem, że przyglądanie się nieznajomym nie jest zbyt taktowne, ale zupełnie nie mogłem się powstrzymać. Wojskowe buty, stara skórzana torba, niczym chlebak, przerzucona przez ramię. Chciałem przejść obok niepostrzeżenie, kukając, czy nie ma gdzieś śladów kul, albo z kieszeni nie wysypują mu się zardzewiałe łuski. I minąłbym go, udając obojętnego, gdyby nie Abakus. Skoczył na nieznajomego i domagał się głaskania. Staruszek, gdy tylko wilgotny nos labradora zbliżył się do jego ręki, otworzył oczy i spał się, jakby cały czas był gotowy do ataku. Starał się zorientować w sytuacji, szybko zauważył, że to tylko mój Abakus i pogłaskał go po głowie. Album w całym tym zamieszaniu zsunął się i pewnie spadłby na ziemię, został jednak uchwycony tuż nad ziemią długimi kościstymi palcami. Oprawa książki była równie pomarszczona jak jego palce. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się niewinnie. Ukazały mi się stalowe oczy na mocno przypalonej słońcem twarzy i błysnęły zęby ukryte w siwej, zaniedbanej brodzie. Abakus wciąż skakał, lizał, łasił się, jakby znał dziadka od zawsze. Starzec wyrwał mnie z osłupienia, pokazując ławkę i zapraszając gestem, bym usiadł obok. Jeszcze przed chwilą myślałem, że nie mógłbym nawet zamienić słowa z tym lumpem, który na pierwszy rzut oka wyglądał jak bezdomny. Pociągnąłem nosem dla upewnienia się, że nie spotka mnie nic przykrego.

Jakże mylne bywa pierwsze wrażenie. Kątem oka zobaczyłem leżące na ziemi zdjęcie: ten sam mężczyzna, ten sam płaszcz, i zupełnie inne okoliczności. Podniosłem je i podałem mu, w duchu licząc na jakąś zadziwiającą historię. Nie dał się prosić, swoją opowieścią przeniósł mnie za ocean, do takich namiętności i przygód, o których nie sądziłem, że mogą komukolwiek się przytrafić.

- Pan sobie ze mnie żartuje, prawda? W życiu nie słyszałem czegoś podobnego.

- A czy wyglądam na kogoś, kto zmyśla, spotykając każdego przypadkowego przechodnia? To ty sam się do mnie dosiadłeś.
- Może po prostu dobrze pan udaje?
- Dlaczego nie wierzysz mi, tylko dlatego, że słyszysz o rzeczach, które tobie się nie przytrafiły, ale pobudzają wyobraźnię i przywołują twoje własne marzenia?
- ...
- Spójrz na fotografię, czy to wystarczający dowód?
- ...
- Milczysz? Dobrze wiesz, że nie może być fałszywa.
- Tak.

Zaczęło się robić chłodno, bo ile można siedzieć jesienią na ławce, nawet w tak słoneczne południe. Zaproponowałem, byśmy przenieśli się w jakieś przytulne miejsce. Zaciekawilo mnie, co taki człowiek sądzi o otaczającym go świecie i ludziach, jako że dorabiałem w gazecie jako wolny strzelec. Żył jakby wyjęty z tego świata. Bez telewizora, gazet, generowanych sztucznie potrzeb. Z drugiej strony chyba jeszcze nigdy nie spotkałem kogoś żyjącego tak bardzo tu i teraz.

W pewnym momencie zorientowałem się, że to nie ja prowadzę go do knajpy, ale to właśnie on doskonale wie, w którą stronę mnie zaprowadzić i gdzie najlepiej schronić się przed chłodem.

Znaleźliśmy lokal o całkiem przyjemnej atmosferze. Nie miałem zielonego pojęcia, że w Rzeszowie jest tak magiczne miejsce. Wchodząc do środka „Da Vinci”, zadawało mi się, że uśmiech, jaki posłał kobiecie za ladą i jej nieprzenikniony wyraz twarzy będący odpowiedzią, jest jakąś tajemnicą, do której nie mam dostępu... Taką wyjątkową chwilą, której doświadczyłem przed chwilą na ławce, albo czymś jeszcze większym. A może to tylko słońce odbiło się od szyby w drzwiach, sprawiając, że w ich twarzach wyobraziłem sobie to wszystko.

Rozmowa toczyła się dalej. Zdołałem dowiedzieć się, że jest kilka miejsc, które częściej odwiedza, ale nie chciał powiedzieć niczego więcej. Wynioskowałem, że nie zabawił nigdzie na stałe od bardzo dawna. Niewątpliwie miałem jednak do czynienia z człowiekiem niezwyklej kultury i ogłady, potrafiącym oddzielić strefę swojej prywatności od niebywałej wręcz otwartości. Dzieliliśmy się naszymi wspomnieniami, zachwytyami. Na stole przybywało brudnych talerzyków po ciastkach i filiżanek po kawie, aż serce zaczęło mi drżeć i nie wiedziałem czy z podniecenia, czy z nadmiaru kofeiny. Nagle coś wyrwało mnie z transu. Komórka nastawiona na wibrację od dłuższego czasu domagała się odebrania. Spotkanie! Przecież mam robotę! Klienci... Szybko rzuciłem okiem za okno. Niebywałe, jak czas szybko zleciał, słońce chyliło się ku zachodowi. Abakus zdawał się uśmiechać przez solidnie wylizaną przez siebie szybę, niecierpliwie czekając aż wyjdę. Błyskawicznie pożegnałem się, regulując rachunek i wybiegłem, oddzwaniając do klienta.

Do dziś żałuję, że nie dowiedziałem się, jak ów staruszek się nazywa lub skąd pochodzi, albo nie umówiłem się na kolejny spacer lub popołudnie w kawiarni. Po jakimś czasie odnalazłem tę knajpę, ale o pani zza lady, którą zapamiętałem, już nikt tam nie słyszał. Jeszcze jedno pozostało mi z tego spotkania, prócz przemilego wspomnienia i świadomości, że jest na świecie ktoś, z kim można znaleźć wspólny język. To ta wrażliwość na rozmówcę. Zarówno w spotkaniach z moimi przyjaciółmi, jak i z przypadkowymi znajomymi próbuję nieudolnie odtworzyć jego otwartość relacji. Czasem nawet mi się udaje. A w nagrodę otrzymuję coś wyjątkowego. Bezcenną chwilę spędzoną z szalenie ciekawym człowiekiem.

TEKSTY POLECONE DO DRUKU

Hubertus

MACIEK DORYK, ZSO im. KEN w Stalowej Woli

Pierwsze polskie łowy

Moja znajomość z Hansem Klinkenbergiem zaczęła się na początku lat dziewięćdziesiątych. Będąc wówczas służbowo w Niemczech, miałem wypadek i ze złamaniem ręki trafiłem do kliniki ortopedycznej we Frankfurcie, gdzie Hans został właśnie dyrektorem. Zapewne gdyby nie rozmowa, podczas której spytałem jak szybko odzyskam sprawność i będę znowu mógł strzelać, opuściłbym tę placówkę jak rzesza innych pacjentów i pewnie nigdy tam nie powrócił. Stało się jednak inaczej, bo doktor Klingenberg obdarzył mnie - zresztą ze wzajemnością - szczególnie głęboką przyjaźnią, która przypieczętowała miłość do sztuki łowieckiej. Często polowaliśmy wspólnie po obu stronach granicy, ale pierwsza wizyta w Polsce Herr Klinkenberga zapadła mi w pamięć wyjątkowo głęboko. Tak pisał o niej w swoim dzienniku myśliwskim:

Na początku marca otrzymałem od mojego przyjaciela z Polski, mecenasa Stanisława Zduńskiego, zaproszenie na czerwcowe łowy. Bardzo ucieszył mnie ten fakt i z dziecięcą niecierpliwością wyczekiwałem terminu wyjazdu. Wreszcie nadszedł i samolotem z Frankfurtu poleciałem wprost do Warszawy. Stanisław czekał na mnie na lotnisku. Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu przeprosił, że, niestety, nie będzie mógł towarzyszyć mi w łowach, bo ma pilny wyjazd na Pomorze, jednak poinformował, że dostanę najlepszego podprowadzającego, na którego z pewnością nie będę narzekał. Z Warszawy do miejscowości N i e w ę g ł o s z, której nazwy nadal nie potrafię wymówić, zawiózł mnie kierowca Stasia. W tamtejszym domku myśliwskim czekali na mnie zniecierpliwiony łowczy T a d e u s z Zuba ze swoim bratem A n d r z e j e m - także myśliwym - i gospodyni. O zachodzie słońca zasiedliśmy do suto zastawionego stołu, na którym znalazły się najróżniejsze przysmaki kuchni polskiej i mnóstwo potraw z dzicyzny. Rzecz jasna, nie obyło się bez własnoręcznie robionej gorzałki i ciemnego piwa. Biesiadę skończyliśmy niedługo po północy.

Rankiem wyrwał mnie ze snu kobiecy głos, wołający w moim rodzimym języku. Zwlokłem się z łóżka i otworzyłem drzwi. Korytarz był pusty. Szybko włożyłem ubranie i wyszedłem przed kwaterę. Stała naprzeciwko mnie - może dwudziestopięcioletnia, może nieco młodsza - dziewczyna o kruczoczarnych, długich włosach, opadających na ramiona spod zielonego kapelusza. Ubrana w mundur myśliwski i wysokie oficerskie buty, które szczególnie mnie zaintrygowały, wyglądała bardzo elegancko. Podała mi smukłą, acz nie mniej silną od męskiej dłoń, po czym lekko skłoniła głowę. Powiedziała, że na prośbę Stasia będzie moją podprowadzającą i że jest przekonana, iż spodoba mi się na L u b e l s z c z y Ź n i e. To niezwykle, jak płynnie i czysto mówiła po niemiecku. Mógłbym przysiąc, że jest moją krajanką. Towarzyszące mi niedowierzanie wynikało z faktu, że mam polować z kobietą. Chwilę potem zjawił się łowczy Zuba i zaprosił mnie na śniadanie. Tuż po nim wsiałem z moją przewodniczką do starego, złotego uaza i pojechaliśmy wzdłuż T y ś - m i e n i c y. Nie byłem pewny, czy przedstawiła mi się, czy z przejścia nie usłyszałem jak ma na imię. W końcu odważyłem się spytać. - M a ł g o r z a t a - powiedziała z szerokim uśmiechem. Spróbowałem po niej powtórzyć. - G r e t e - nie pozwoliła mi dokończyć i znów uśmiechnęła się. - To wszystko to Lasy P a r c z e w s k i e. A ta rzeka - po prawej stronie to dopływ W i e p r z a, pewnie pan słyszał? - byłem oczarowany nie tylko jej głosem, ale i mgłą unoszącą się nad powierzchnią wody, powodującą iście bajkową atmosferę. Na drugim brzegu rozciągały się złote pola, które zniknęły dopiero za horyzontem, i jakby morze,

falowały poruszane wiatrem. Trwałem wpatrzony w nieskończoność tego cudu, aż z zamyślenia wyrwał mnie trzask zamykanych drzwi. Byliśmy już na miejscu. Przede mną nagle wyrosła wysoka ściana lasu, zaś po lewej stronie krajobraz rozciągał bezkresne pola, oblane błyszczącą w promieniach wschodzącego słońca rosą. Grete wyjaśniła mi, że dalej pójdziemy pieszo. Szliśmy tak może dwadzieścia minut, kiedy poczułem jej dłoń na ramieniu. Odwróciłem się, a dziewczyna, przysunawszy palec do ust, wskazała, głową sylwetkę samy. Powoli sięgnąłem po lornetkę. To, co ujrzałem, przerosło moje najśmielsze oczekiwania, albowiem wśród traw stał potężny, stary myłkus i miałem wrażenie, że spogląda mi prosto w oczy. Ponad siwą plamą pośrodku czoła, wyrastały ogromne róże, zaś nad nimi, grube tyki układały się na kształt wijącego się bluszczu. - Muszę go mieć – wyszeptalem, sięgając po broń. Dziewczyna pokręciła głową. - Jest za daleko - stwierdziła. Chciałem spróbować go podejść. - Nie, stoimy tutaj - była zaskakująco spokojna. Moje podniecenie wcale jej się nie udzieliło. Czulem jak krew rozsada mi skronie.

Wróciliśmy na kwaterę inną drogą - asfaltową.

Następnego ranka pojechaliśmy w to samo miejsce, ale dotarliśmy tam z przeciwnej strony. Kiedy staliśmy wśród dojrzewających zbóż, smagający nasze twarze chłodny wiatr niespodziewanie ucichł, a chmurne, nocne niebo poczęło rozświetlać nieśmiało budzące się słońce. Nagle zobaczyłem podążającą w naszym kierunku sylwetkę zwierzęcia. Drżącymi dłońmi chwyciłem lornetkę i powoli zbliżyłem ją do oczu. To był on. Sięgnąłem po sztucer i ostrożnie, nie odrywając wzroku od kozła, przyłożyłem kolbę do ramienia. Stał przodem do mnie, więc czekałem, żeby choć nieznacznie się obrócił. Dłuższą chwilę trwaliśmy tak w bezruchu i niepewności, aż on spuścił łeb i zaczął żerować. Wówczas stanął idealnie bokiem. Nie było sensu dłużej czekać. Wiedziałem, że teraz jest moja szansa. Spojrzałem w lunetę, poprowadziłem krzyż po przedniej cewce w górę i naciągnąłem przyspiesznik. Uspokoilem oddech, a okolica zatrzęsa się echem wystrzału niesionego między drzewami i wśród zbóż, hen za rzekę! Byłem przekonany, że padł w ogniu i kończy pisać ostatnie wersy testamentu, jednak zaraz zobaczyłem go uciekającego w stronę lasu. W tym samym czasie rozległ się kolejny huk wystrzału, równie głośny jak poprzedni, lecz bardziej skuteczny, bo kozioł zarzucił łbem i padł na złoty dywan. - Mówił pan, że musi go mieć - Grete patrzyła pytająco na moją zdziwioną twarz. Nie mogłem zrozumieć, kiedy zdążyła strzelić, tym bardziej, że chwilę potem okazało się, że pocisk przeszedł przez środek karku. Wypatroszenie kozła, zawiezenie go do punktu skupu i dopełnienie formalności zajęło tyle czasu, że ledwo zdążyliśmy na obiad. Przygotowana dla nas tego dnia kaczką z jabłkami była naprawdę wyborna.

Wieczorem wybraliśmy się na zasiadkę. Zbliżała się pełnia, więc księżyc rozświetlał prawie każdy zakamarek lasu. Usiedliśmy na ambonach znajdujących się na ścianie starego grądu w odległości mniej więcej kilometra. Mijała godzina za godziną i patrzyłem jak łąka przykrywa się mglistą pierzynką. Przed północą po mojej lewej stronie przemaszerowała chmara jeleni. Dokładnie godzinę później usłyszałem szelest liści za plecami, który jednak natychmiast ucichł. Wstrzymałem oddech, przekonany, że zbliżają się dziki. Zaraz w tym samym miejscu złamało się kilka patyków i znów wszystko ucichło. Czekałem tak może kwadrans, może dłużej, aż ze skupienia wyrwał mnie głos lochy nawołującej warchlaki do odwrotu. Nie miałem pojęcia, co spłoszyło zmierzającą ku mnie watahę, ale jakieś przeczucie podpowiadało mi, że tej nocy nic już się nie wydarzy. I miałbym rację, gdyby nie puszczyk, który odwiedził mnie, żeby usiąść na chwilę na gałęzi tuż przed moim nosem, wlepić we mnie wzrok i niewiele myśląc, odlecieć. Kolejne zasiadki również nie przyniosły skutku.

W czasie tamtego pobytu wielokrotnie polowaliśmy razem, wszak tereny okazały się szczególnie bogate w zwierzynę. Nie mogę powiedzieć, że bym nie miał się czym pochwalić, wszak jednego dnia udało mi się ściągnąć jedenaście kaczek pod rząd, kiedy indziej trafiłem biegnącego lisa. Zadziwił mnie kunszt strzelecki tej dziewczyny. Zacząłem zazdrościć jej

tym bardziej, że kiedyś podczas biesiady, łowczy zapewnił mnie, że ona nigdy nie pudłuje i w całym okręgu, a może i dalej, nie ma sobie równych. Wyraźnie widziała, jak podziwiam jej talent i jak bardzo się wstydzę, pudłując.

Ostatniego dnia mojego pobytu w Polsce wrócił Staś. Urządził dla mnie polowanie na dziki z naganką i z psami. Ale stało się wtedy coś nieoczekiwanego, bo strzał, który oddała Grete, okazał się niecelny. Nie wiem, czy ten fakt dodał mi odwagi, czy wyleczył kompleksy minionych polowań, lecz w ostatnim miocie odważyłem się i położyłem imponującego, prawie dwustu kilowego odyńca, który przebiegał przez linię.

Tamto pamiętne polowanie zapadło mi głęboko w serce. Wciąż widzę Małgorzatę na sąsiednim stanowisku i watahę dzików biegnącą przez łąkę. Słyszę huk wystrzału przedzierającego się przez szczekanie psów. I jej słowa, że łowiecka solidarność ważniejsza jest od ambicji, bo to ta pierwsza świadczy o honorze. Byłem jedynym, któremu ta wówczas młodzianka dziewczyna, dała lekcję pokory, etyki i koleżeństwa. Jedynym, który widział uniesione ku niebu lufy starego, niemieckiego drylinga.

Chmurka

KLAUDIA STANISZ, I LO Krosno

Pamiętnik Prometeusza zapomnianego

Na wstępie chcę powiedzieć, że pamiętnik ten piszę dla moich potomnych. Powinni wiedzieć, jak wyglądało życie ich stwórcy. Jak się dla nich poświęciłem! To mnie za boga powinni uważać, a nie tę karykaturę! Ale o tym później. Teraz idę po ogień!

3. rok 6. olimpiady

I to ma być sprawiedliwość?!

Stworzyłem nową istotę, niemal idealną - człowieka. Nauczyłem go wielu przydatnych rzeczy. Jako że był słaby, dałem mu ogień. Zeus uważa go tylko za boski przywilej, więc organizuje sąd nade mną! Już jutro! Chce odegrać się na mnie za to, że jestem bardziej pomysłowy. Debil skończony. Muszę się uspokoić. Idę spać, to może być moja ostatnia spokojna noc...

1672 lata później

Do skał Kaukazu mię przytwierdzili, niczym zbrodniarza jakiego. Cierpieć tu mam dla uciech Zeusowych.... Ranką każdego ptaszysko straszne przylatuje i mą wątrobę wydziobuje. Barbarzyństwa tego końca nie przewiduję. Jam jest Prometeusz, a męczę się niczym słabeusz! Niech ma kara skończy się tylko, ja honoru swego się dopomnę... Zeus niczym mysz przed kotem uciekał będzie. Lecz przed gniewem męża tak, jak ja walecznego, się nie uchroni. Pojedynek stoczymy, a bóg zwyciężony męki straszne cierpieć będzie.

Co się ze mną dzieje? Wierszami gadam niczym ten, no, ślepy Homer! To z bólu i samotności. Serce me krwawi, do dziewicy jakiej tęsknię, która by mnie wsparła w cierpieniu. Dziewki jakiej czarnowłosej o licach mlecznych pragnę, pocałunku ust spragnionych. Ukojenia potrzebuję na dziewoi piersiach krągłych... Życie moje tęsknotą jest przepelnione. Lecz losu mojego nikt nie może podzielić, cierpieć sam muszę. Toż to wstyd i hańba dla męża godnego. Chcę ojczyznę bronić, z królem się zbratać! Dziewka jaka potomstwo me począć

powinna! A tu niczym zdrajca na wygnaniu i karze jestem. Gdzież sprawiedliwość? Gdzież mężowie godni, co uratować mię mają?!

Okolo 2500 lat później, poranek

Dawno nie pisałem. A i teraz ledwo co, tak na gorąco...

Wszystkiego mi się odechciało, nawet planowania zemsty na Zeusie. Ale to przez tego bezdusznego sępa... Ja pierdolę, znowu leci... Już nawet nie mam siły rozpaczać, przyzwyczałem się. Sam ból wydaje mi się mniejszy... Ale i tak mnie ściska, gdy widzę, jak się zbliża, na tych swoich siwych już skrzydłach. Myślicie, co zrobi Zeus, jak on zdechnie? Nikogo to nie bawi, ludzie już nawet nie wierzą w bogów, więc po jaką cholere ta moja kara jeszcze trwa? Ten idiota nie myśli.

A właśnie, ciekawe co z Syzyfem, czy dalej wtacza ten kamień? Jak ja cierpię, to on pewnie też. Chyba, że udało mu się jakoś uciec? Przychodzili tu tacy brodaci i coś o nim mówili, ale nie dosłyszałem. Coś, że szczęśliwy, bo ma swoją górę i swój głaz... Bzdury jakieś! Ja mam sępa, ale wcale nie jestem szczęśliwy! O, leci! Kurza stopa. No, leć szybciej, miejmy to już za sobą. O, ja pindolę, siadł obok mnie. Zamiast zabierać się za robotę, to się na mnie patrzy. Cholera! On jest jeszcze głupszy od Zeusa, nawet nie wiedziałem, że to możliwe..

Chatka Maryni! Durny ptak mysz ujrzał i za nią poleciał. Zaraz i tak wróci. Jakby nie mógł się najpierw za moja wątrobę zabrać, następną torturę mi znalazł - czekanie na niego. Zadziobał mysz. Jakby mnie mógł tak zadziobać, spokój by był. Chociaż nie. Ja miałem się przecież na Zeusie zemścić... Właściwie to mi się już nawet nie chce...

Chodź tu sepie, już. No, leci. Nareszcie. O dupa blada... Może mnie ktoś potrzymać za rękę?

Kopus

WERONIKA KOPROWSKA, I Społeczne Liceum w Tarnobrzegu

Niech żyją wakacje!

Siena

W tle słyhać było cichy śmiech i szum morskich fal. Siedziały tak razem, przytulone.

- *A co, jeśli rzeczywistość jest tylko iluzją, i tak naprawdę nie ma nic?*

- *To wtedy nie byłoby nas...*

- Ty, wstawaj ! Zatrzymamy się zaraz - mruknął, zapisując coś w notatniku.

Nie pytała dlaczego, nie interesowało jej to. Zresztą nic ją nie interesowało. Zobojętniała na to, co się wokół niej działo. Kiedy już dojechali na miejsce, ojciec wysiadł z auta, wciąż rozmawiając przez telefon i wcisnął dziewczynie do ręki zwitek banknotów, a ona spojrzała na niego pytająco.

- Masz dwie godziny, idź gdzieś sobie - sapnął, na chwilę odstawiając telefon od ucha. Pogrzebał jeszcze w swoich dokumentach, zamknął auto i poszedł w sobie tylko znaną stronę.

- Pa, tato. - szepnęła. Była przyzwyczajona do takiego zachowania, nie przeszkadzało jej to. Czy była sama, czy z kimś, nie miało to dla niej większego znaczenia.

Rozejrzała się wokół. Była na jakimś starym parkingu niedaleko placu Del Campo. Nie знаła tego miejsca, postanowiła iść prosto. Wiedziała, że w końcu gdzieś dojdzie. Ale dokąd? Mijała kolejne uliczki. Zaczęło kropić, wstąpiła do najbliższego sklepu.

- Vodka, per favore. - rzekła łamaną „włoszczyzną” do starej kasjerki ubranej w przetarty niebieski fartuch.

- Prego. - odpowiedziała, stawiając trunek na ladzie i licząc pieniądze. Nie zwróciła uwagi ani na wiek klientki., ani na jej obcy akcent.

Skierowała się w stronę Placu Del Campo. Po drodze mijała ludzi różnych narodowości, ich- głosy mieszały się ze sobą tworząc zlepek niezrozumiałych słów.

Deszcz padał coraz mocniej, uliczki pustoszały, a uliczny gwar cichł. W końcu słyszała już tylko szum miotanych przez wiatr liści i stukot kropel spadających na chodnik.

Plac Del Campo znajdował się w centralnej części Sieny. To obszerny rynek w kształcie muszli, wybrukowany czerwoną cegłą i marmurem. Madzia postanowiła zamówić coś mocniejszego w jednej z pobliskich kawiarenek. Mimo deszczu, usiadła przy stoliku na zewnątrz. Po chwili zjawiała się młoda kelnerka, wręczając menu.

- Si? - spytała z wystudiowanym uśmiechem, wpatrując się w swego dość nietypowego klienta.

- Qualcosa di più forte, prego. - odpowiedziała, obojętnie patrząc na majestat otaczającego ją miejsca i wsłuchując się w rozmowy dobiegające z lokalu.

- Caipiroska? - spytała tonem, w którym czuć było lekką wątpliwość co do wieku dziewczyny.

Nie obchodziło to jednak samej zainteresowanej, która w odpowiedzi skinęła jedynie głową. Przyniesiony drink wypła jednym duszkiem, nie czując nawet smaku. Wyciągnęła z kieszeni pieniądze i - nie przeliczając - rzuciła na stół. Wstała i nieświadomie skierowała się w pewne miejsce, ICH miejsce.

Był to zwykły murek, z którego w dół prowadziły kręte marmurowe schody. W tle widać było panoramę Sieny. Aż dech jej zaparło w piersiach. Czy to możliwe, że jeszcze niespełna rok temu były tu razem? Siedziały, przeglądały masę zdjęć zrobionych przy najróżniejszych pomnikach i zabytkach. Planowały, gdzie udać się i śmiały się z najprzeróżniejszych błahych sytuacji. Było tak gorąco, że opuszczając ulubione miejsce, poruszały się wzdłuż ciemnych uliczek, przystając co chwilę, żeby wykonać kolejne zdjęcie przy wystawie sklepowej, przy ogromnych starych drzwiach, na tle jednej z malowniczych uliczek... Wciąż się śmiały, ale już nie pamiętała z czego... To miejsce nie wyglądało jednak już tak samo, jak je zapamiętała.

„Owszem niby na pierwszy rzut oko nic się nie zmieniło, ale schody już nie te same, te są bardziej zniszczone. Wszędzie porozrzucone śmieci, a sam murek jest bardziej obdarty. Zresztą, dlaczego pada deszcz? Jak my tutaj byłyśmy, deszczu nigdy nie było!”

Oparła się o tak cenny dla niej murek, apatycznie spoglądała w dal. Nie czuła jak staje się coraz bardziej mokra, jak krople deszczu mieszają się z jej łzami, nie czuła, że płacze.

Wyciągnęła z torebki zakupioną flaszkę, pociągnęła solidny łyk, a potem następny i osunęła się po ścianie. Świat stawał się jej coraz bardziej obojętny.

Monte Gabione, dwa dni wcześniej

- Cha, kto ostatni w basenie, ten ciołek! - krzyknęła, zrzucając po drodze sukienkę i biegnąc co sił ku wodzie.

- Czyli ty!- zaoponował Marco, po czym rzucił się w ślad za przyjaciółką.

Znajdowali się nad jednym z licznych przydomowych basenów, a wokół nich roztaczał się wspaniały krajobraz centralnych Włoch. W oddali na wzgórzu widać było miasteczko Monte Gabione.

- Marco, jak tu cudownie, no, naprawdę - rzekła, rozglądając się w zachwycie.

Chłopak nie zauważył, jak w przelocie spojrzała na telefon komórkowy.

- Brakuje mi jej jednak - westchnął Marco.

- No, szkoda, szkoda, ale to nic poważnego, spotkamy się w przyszłym roku - odpowiedziała śmiejąc się, a jednak jej wzrok znów uciekł ku komórce.

- Szkoda, że jej tu nie ma - ciągnął, wpatrując się w malowniczy pejzaż pól oliwnych.
- W przyszłym roku na pewno będzie - szepnęła drżącym głosem, siląc się na obojętność. Czowała jednak, że mija się z prawdą, chociaż chciała wierzyć w to, co powiedziała. Miała niejasne przeczucie, że coś się wydarzy.
- Tak, będziemy tutaj wszyscy. Będziemy pływać i obżerać się tymi dobrymi rogalikami z dżemem. O, tam będziemy sobie robić wspólne zdjęcia!- dodała entuzjastycznie, wskazując obrośniętą bluszczem altankę i próbując przekonać samą siebie, że tak właśnie będzie. Że się nie myli. Automatycznie spojrzała na telefon.
Marco szczerze się uśmiechnął, skoczył „na główkę” do basenu i odpłynął na przeciwległy brzeg, aby na nowo pograżyć się w marzeniach.
„Dlaczego mam psuć mu humor, tylko dlatego, że mam jakieś dziwne urojenia? Przecież jakby się coś stało, to bym wiedziała, mieli dzwonić.” - próbowała wmówić sobie. Wzięła parę głębszych oddechów, sięgnęła do swojej plażowej torby i wyciągnęła telefon. „Nic. Nikt nie dzwonił, nikt nie pisał. Ale ja głupia jestem. Histeryzować tak o byle co z powodu, jakiegoś tam wyrostka, to tylko ja potrafię”. Postanowiła nie zaprzętać sobie tym więcej głowy i korzystać z wakacji. Położyła się na jednym z wygodnych kolorowych leżaków, nasmarowała oliwką, i zabrała do czytania ulubionej książki.
Nagle poczuła lodowaty dreszcz, to Marco chlusnął ją wodą.

Szuler

SZYMON BARABASZ, I LO Krosno

Chłopcy z Botany Bay

*Już nad Hornem zapada noc
wiatr na żaglach położył się
a tam jeszcze korsarze na Botany Bay
upychają zdobycze swe*

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy piracki bryg wpływał do zatoki. Ostatnie krwawe promienie oświetlały ogorzałe twarze, szerokie bary i ponure miny marynarzy uwijających się na pokładzie. Bryza pchała okręt ku białym klifom brzegu, które teraz skąpane były w świetle zachodzącego słońca. Znużona załoga nosiła zdobycze zabrane z włoskiego statku handlowego, upychając je w ładowni pod głównym pokładem. Wory wyładowane cynamonem, pieprzem i goździkami były nie lada fortuną i trzeba było je chronić. Kufer pełen guldenów kapitan zabrał do swojej kajuty, by tam bezpiecznie przeczekał powrót do portu. Howard Morgan nie chciał dopuścić, by jego okręt *Little Rose* zmienił się w statek widmo, ogarnięty gorączką złota.

*Jolly Roger na maszcie już śpi
jutro przyjdzie z Hiszpanem się bić
a korsarze znudzeni na Botany Bay
za zwycięstwo dziś będą swe pić*

Okręt zacumował pośród skał. Nawigator przeprowadził go pomiędzy rafami i gdy na pokładzie był już klar, bosman stanął na mostku i krzyknął:
- Dobrze chłopcy! Świetnie się dzisiaj sprawiliście! Możecie iść do kubryku. Dzisiaj pijemy za zwycięstwo! Na pohybel!
- Na pohybel! - zakrzyknęła załoga i dopadła beczulek rumu, na polecenie bosmana wytoczonych z ładowni przez młodych majtków.

Wiara wpadła do kubryku i porwała za kielichy, kufle, kubki i puchary, by napęłnić je rumem. Odszpuntowana beczka leżała oparta o grubą belkę grotmasztu. Lano tego, nikomu nie żałując, wszak wszyscy zasłużyli na nagrodę za dzisiejszą bitwę. - Za starego, co ma nos na taką okazję! - krzyknął któryś. - Za starego!- zawtórowała gromada zdartych, przepitych głosów, wznosząc pierwszy toast.

Załoga *Little Rose* stoczyła niejedną bitwę, walcząc zaciekle ramię w ramię pod dowództwem kapitana Howarda Morgana i jego pierwszego oficera, pana Colinsa. Niejeden bój o beczkę śledzi przypłacili krwią, ranami i stratą towarzyszy. Za to dzisiaj sprawili się wyśmienicie. Najpierw sternik Henry przy pomocy nawigatora wymanewrował włoski szkuner tak, że zapłynęli mu drogę i wypalili z armat wprost na uwijającą się na pokładzie załogę, która usiłowała zrobić zwrot. Potem dopadli wroga na jego pokładzie i stoczyli śmiertelny bój. Jak się okazało, po przeszukaniu ładowni, załoga handlowca była wyposzczona, a woda w cysternie śmierdziała niemiłosiernie, jakby była czymś zatruta. Za to ładunek i skarb przewożony przez Włocha kapitan ocenił na kilkanaście tysięcy funtów.

Wszyscy śpiewali i wiwatowali, bawiąc się w ciasnej kabinie. Jednooki Oliver wyjął swój flet i umiłił biesiadę, grając skoczną melodię.

*Śniady Clark puchar wznosi do ust
bracia niech toast idzie na dno
tylko Johnny nie pije bo kilka mil stąd
otuliło złe morze go*

Clark wznosił kolejny toast, zamyślił się chwilę, po czym uciszając ręką Olivera i całą rozchukana załogę powiedział grobowym głosem:

-Za tych kompanów, co już ich z nami nie ma. Teraz pływają z Neptunem, taki już nasz piracki los... -Taki piracki los...- powtórzyli, ulewając: trochę rumu na deski, jako znak pamięci dla tych co odeszli, patrząc ze smutkiem na pusty hamak w rogu kajuty, na którym zawsze spał Johny, jeden z ich kompanów, którego dzisiaj musieli pożegnać.

*Nie podnosi kielicha do ust
zawsze on tu najgłośniej się śmiał
mistrz fechtunku z Florencji ugodził go
już nie będzie za szoty się brał*

Zawiało z zachodu, Włosi jeszcze nie zauważyli zbliżającego się do nich pirackiego okrętu. Czarne żagle nie były zbyt dobrze widoczne na tle szarego morza. Kapitan, spoglądając przez perspektywę, zagryzł wargi, atmosfera na decku była napięta. Marynarze uwijali się po pokładzie, podciągając niektóre liny, by płynąć z pełną prędkością, wychylali się przez wanty, by lepiej zobaczyć cel. Na pokładzie prochowym było niewiele luźniej. Strzelcy uchylali ukradkiem ambrazury, by zerknąć na sylwetkę włoskiego szkunera, wybierając miejsca najdogodniejsze do ataku. Henry przyłożył lunetę po raz kolejny do oka, zrobił to również pierwszy oficer.

- Jaki diabeł? Ślepe są, czy co? Żeby nie zauważyć brygu z mili trza być ślepcem albo głupcem, co panie Colins?

- Aye, uwijają się jak w ukropie.

Na pokładzie włoskiego handlowca *Paola* układano na nowo cały ładunek, bo podczas ostatniego sztormu pozrywały się liny trzymające fracht. Cały dobytek wyniesiono z ładowni,

przeładowano, czy nie zamókł i wyrzucano to, co nie nadawało się już do niczego. Pozostały fracht chowano z powrotem. W końcu jeden z majtków przeciągając się. Spojrzał za siebie, ponad głowami pracującej załogi. Nie był pewien tego, co zobaczył, podszedł więc do burty i przyłożywszy rękę do czoła przyglądał się kształtowi majaczącemu przy linii wody, gdzieś na zachodzie. To, co zobaczył, zmroziło go. Podbiegi do dzwonu na mostku, zabił w niego i zawył z całych sił:

- Piraaaci! Zbliżają się od zachodu!

- Widzi pan, panie Colins, już nas widzą - powiedział kapitan, odkładając lunetę od oka.

- Aye, na pokładzie zrobiło się niezgorsze zamieszanie. W tym chaosie pewnie nie będą w stanie przygotować się do walki. A może uda nam się zdobyć fracht bez kropli krwi, jak robił to Czarnobrody?

- Wątpiłbym w to. Przygotować się do walki!

- Ale, panie kapitanie.

Piraci zgodnie z rozkazami bosmana Sama wciągnęli na maszt Jolly Rogera, wesołą czaszkę, patronującą im w każdej bitwie. Kiedy zbliżyli się do Włocha na tyle, że widać było pojedyncze sylwetki, załoga przywitała wrogów przekleństwami, dzikim krzykiem i niewybrednymi gestami. Po krótkim pościgu, *Little Rose* płynęła już za *Paolą*.

- Zwrot przez sztag! - zawył pierwszy oficer.

Załoga porwała się do lin, sternik szarpnął za koło i statki ustawiły się burta w burcie. Na pokładzie prochowym zawrzało. Stary Leo, dowódca kanonierów wykrzykiwał rozkazy. - Otwierać ambrazy, ładować działa, cel...- poczekał, aż okręt uniesie się na fali, a osłupiała włoska załoga spojrzy w ciemne gardziele pirackich dział - ognia!

Huknęła salwa, wokół okrętów pojawiła się szara chmura kwaśnego, prochowego dymu. Słychać trzask łamanych belek poszycia, może złamany maszt. Słychać jęk i krzyki ranionych odłamkami. Wiatr rozwiął chmurę dymu i piraci momentalnie zaczęli rzucać w stronę wroga kotwice, wbijające się w pokład, burty i maszt. Silne dłonie ciągnęły liny i dwa okręty zaczęły się do siebie zbliżać. Włosi usunęli jęczących rannych i ustawiali się tak, by przyjąć pierwsze uderzenie piratów. Wystrzeliło kilka muszkietów, jeden z majtków ciągnących liny na *Little Rose* dostał w ramię i upadł, zastąpił go inny. Na *Paoli* nie nadążali z rąbaniem lin, które coraz bliżej przyciągały do siebie obydwie jednostki.

W końcu głucho łupnęły zderzające się burty. Piraci z dzikim rykiem rzucili się na Włochów. Szczęk broni, wystrzały z pistoletów, jęki rannych i złorzeczenia walczących mieszały się w ponurą symfonię morską bitwy.

Johny doskoczył do jednego z przeciwników, który ranił dwóch jego kamratów i śmiało podązał, by dopaść kapitana walczącego pod grotmasztem.

-Stój, pludraku, gdzie leziesz, ze mną się jeszcze musisz porachować!- krzyknął, wywijając nad głową kordelasem. Włoch, odwrócił się i robiąc wypad, chciał dopaść Johnego. Pirat sparował cios w ostatniej chwili i próbował wyprowadzić kontrę, jednak zachwiał się i nie trafił. W tym momencie Włoch swoim rapierem chciał ugodzić Johnego w głowę, ten jednak odskoczył, popychając inną dwójkę walczących tak, że wpadli na siebie, upadli na dek i zaczęli śmiertelne zapasy. Nie oglądając się, korsarz chciał wykonać zuchwały atak pod żebro Włocha, jednak ten wiedział, jak zablokować podstępne cięcie. Jednym ruchem wybił broń z ręki Johnego, po czym z całej siły pchnął go w krtań. Ostrze przeszło na wylot, a Johny runął jak długi na śliski od krwi pokład. Florentczyk nie zdążył się nawet odwrócić, bo zbłąkana kula wystrzelona przez jednego z jego ziomków ugodziła go w płuco. Legł obok swojego rywala i razem z nim odszedł w objęcia Neptuna.

Tak niewiele zostało dziś ich

*resztę zabrał Neptun pod dach
choć na ustach wciąż uśmiech to w sercach lód
w kuflu miesza się rum i strach*

Na wspomnienie o okrutnych morskich bitwach, dalekim domu i straceńczym losie pirata wszyscy sposepniali. Spoglądali w ciszy w głąb swoich kuflów, kielichów i kubków, przypominając sobie ciepły głos dziewczyny, kochanki, może matki, zostawionej gdzieś za siedmioma morzami. Niejeden z tych twardych jak grenlandzki lód lub wulkaniczna skała chłopów gdzieś w głębi duszy otarł łzę, po czym zapił gorzki smak życia na morzu, mocnym rumem. Po chwili milczenia, powrócili do gwarnej rozmowy, śmiechów i muzyki.

Pijatyka skończyła się po północy, gdy skończył się rum, a bosman kazał iść spać. Nazajutrz czekała ich prawdziwa przeprawa. Mieli przeciąć hiszpański szlak handlowy, liczyli na znalezienie okrętu wyładowanego po brzegi złotem i przyprawami.

*To ostatni chyba już rejs
cios sztyletem lub kula w pierś
Bóg na szkuner w niebiosach zabierze ich
wszystkich chłopców z Botany Bay*

Wyłynęli o świcie razem z porannym odpływem. *Little Rose* obrała kurs na północny zachód, którego przebiegał szlak. Wiatr im sprzyjał, a załoga pomimo powszechnego kaczymordercy, radziła sobie z wykonywaniem poleceń bosmana. Nikt nie śmiał kwestionować jego zaleceń, bo nieraz jego ciężka ręka i żelazna dyscyplina uratowały nie tylko życie załogi, ale i okręt.

Kapitan przez perspektywę dostrzegł przysadzisty, szeroki kształt Hiszpana. Po przebrasowaniu żagli i szybkim zwrocie *Little Rose* pędziła za wrogiem. Sprzyjający wiatr sprawiał, że doganiali go z każdą chwilą. -To nie handlowiec, ani transportowiec! To galeon wojenny, do stu piorunów! Zwrot przez rufę i uciekać! Może nas nie zauważyli! - krzyczy przerażony kapitan, odejmując perspektywę od oka. Załoga błyskawicznie wykonała polecenie, jednak galeon *Santa Veronica* dostrzegł bryg już dawno temu i szykował się do walki, specjalnie dając się doganiać.

*Bóg na szkuner w niebiosach zabierze ich
wszystkich chłopców z Botany Bay*

Kathy
KAROLINA KOTYLA, III LO Rzeszów

Bez pożegnania

Siedziałam na krześle przy łóżku Filipa. Patrzyłam na przeźroczysty płyn, który spływał plastikową rurką prosto do jego żyły i zastępował mu pożywienie. Był wieczór. Nie pamiętam dokładnej godziny. Pogrzeżyłam się w ogarniającej mnie coraz bardziej rozpacz i straciłam rachubę czasu. Dni od nocy odróżniałam tylko za pomocą koloru nieba. Niewiele spałam. Pojedyncze drzemki, w które zapadałam nad ranem, kończyły się zwykle przerażającymi koszmarami. Zrywałam się wtedy z krzykiem, a potem zanosłam płaczem i długo uspokojałam w ramionach mamy, która biegła do mnie po usłyszeniu mojego wrzasku.

Całe dni spędzałam w szpitalu. Opuszczałam Filipa tylko wtedy, gdy w pobliżu pojawiała się jego matka. Nie chciałam jej wchodzić w drogę; wiedziałam, że to nie skończyłoby się dobrze. Nigdy nie darzyła mnie szczególną sympatią, jednak po wypadku

traktowała mnie jeszcze bardziej niechętnie. Zupełnie jakby obwiniała mnie za to, co się stało. A przecież nawet mnie przy tym nie było. Jedyne co wiedziałam na ten temat, pochodziło z relacji świadków: nietrzeźwy mężczyzna w średnim wieku za kierownicą ciężarówki, zbyt duża prędkość, zderzenie czołowe, żadnych ofiar, jedna osoba ciężko ranna... Tą osobą był mój Filip...

- Dlaczego mi to robisz? - szepnęłam, patrząc na niemą i bladą twarz mojego ukochanego, mając nadzieję, że zmuszę go spojrzeniem do otwarcia ust, lub choćby oczu. Wyglądał tak niewinnie i bezbronne. I tak pięknie, mimo nienaturalnej bladości i ciemnych włosów rozrzuconych bezładnie na poduszce. Jednak ten widok wcale nie sprawiał mi przyjemności. Brakowało mi jego pocałunków, bliskości, dowcipów, rozmów, nawet sprzeczek... Nie mogłam znieść tego, że leży bez ruchu. Nigdy nie mógł przecież znaleźć sobie miejsca i był wiecznie uśmiechnięty, a teraz...

No właśnie, co teraz będzie? Zadawałam sobie to pytanie miliony razy dziennie i za każdym razem uświadamiałam sobie to samo - zaszłam w ciążę w wieku osiemnastu lat, mój chłopak jest w śpiączce od tygodni, a przyszła babcia dziecka, które w sobie noszę, nie chce mnie znać i wini za całe zło tego świata.

Moje rozmyślenia przerwało zdarzenie dzięki któremu w moim sercu na nowo odżyła nadzieja. Nie było to nic wielkiego - Filip po prostu nieznacznie poruszył dłonią. Był to tak słabo widoczny gest, że teraz, po latach, zastanawiam się, czy w ogóle miał miejsce, czy tylko moja chora wyobraźnia płatała mi figle, jednak wtedy to znaczyło dla mnie naprawdę wiele. W tamtym momencie byłam prawie pewna, że za chwilę otworzy oczy, popatrzy na mnie i uśmiechem zmaże wszystkie przykre wydarzenia. Jednak pomyliłam się... Z błędu wyprowadziła mnie pielęgniarka, która właśnie weszła do sali.

- Przepraszam... - powiedziałam nieśmiało.

- Tak? - spytała, podchodząc do łóżka.

- On... On się poruszył - dokończyłam pełna nadziei.

- Prawdopodobnie to przypadek. Oczywiście, to może być dobry znak, jednak zazwyczaj nic nie znaczy... - odpowiedziała, patrząc na mnie ze współczuciem i uśmiechnęła się przepaszająco. - Proszę się jednak nie martwić. Myślę, że ma duże szanse, żeby z tego wyjść. - Zakończyła i odwróciła się do wyjścia.

Wtedy zaczął się ten koszmar.

Najpierw urządzenie, które monitorowało pracę serca Filipa, wydało dziwny dźwięk. Pielęgniarka spojrzała na nie i wybiegła z sali, by chwilę później wrócić z lekarzem. Rzucił mi krótkie spojrzenie i powiedział:

- Proszę wyjść.

- A... Ale... - Zaczęłam się jąkać. - Co się dzieje?

- Proszę wyjść - powtórzył z naciskiem.

Zupełnie nie wiem, jak to się stało, że znalazłam się na zewnątrz. Chyba ktoś wyprowadził mnie z sali, bo sama nie byłam w stanie postawić jednego kroku. Moje nogi stały się ciężkie i jakby wrosły w białą posadzkę. Spojrzałam w okno salki i, zanim pielęgniarka je zasłoniła, zobaczyłam, że ktoś przystawia do klatki piersiowej Filipa defibrylator. Ciało mojego chłopaka wygięło się w łuk, by znów opaść na łóżko. Sama usiadłam na krześle w korytarzu. Po moim policzku popłynęła łza, potem druga, ale nic więcej. Zupełnie jakby uszło ze mnie powietrze; jakbym nie miała już nawet siły płakać.

Oparłam głowę o szybę i wbiłam wzrok w ścianę. Była biała. Nieznośnie biała. Jak wszystko inne w tym szpitalu. Ni stąd ni zowąd przypomniało mi się, że w Indiach biel jest kolorem żałoby. Tam, na pogrzebach, na próżno szukać osoby ubranej na czarno.

Na samą myśl o pogrzebie zrobiło mi się niedobrze. Zamknęłam oczy, żeby móc skupić się na myśleniu o czymś pozytywnym. Nie dałam rady. Czułam, że go tracę. Jediną osobą na świecie, na której naprawdę mi zależy.

Zacząłam się modlić. Nie robiłam tego od ponad roku. Po kolei przypominałam sobie modlitwy małego katechizmu, których uczono mnie w dzieciństwie i powtarzałam w myślach niczym mantrę. Bóg, w którego kiedyś przestałam wierzyć, nagle stał się dla mnie jedyną nadzieją.

Po czasie, który wydawał się wtedy wiecznością, z sali wyszedł lekarz i kilka pielęgniarek. Podniosłam na niego wzrok, jednak nie wstałam, ani nie odezwałam się chociażby słowem. On pewnie nawet mnie nie zauważył. Nagle, z niewiadomych powodów, w moim sercu zagościła nadzieja, która, niczym słońce, ogrzewała cały organizm ciepłymi promieniami. Jednak to słońce szybko zostało przesłonięte ciemnymi chmurami gorzkich słów lekarza:

- Siostrze, proszę zapisać czas zgonu - 10:26.

Jedynym, co przyszło mi wtedy do głowy było to, że nawet nie zdarzyłam się z nim pożegnać.

Zuzanne

KATARZYNA RZĄSA, III LO Rzeszów

Stracone

Zbliżały się mikołajki, a ja i Konstancja kręciłyśmy się po centrum handlowym w poszukiwaniu prezentów. Właściwie wszystkie były już kupione prócz jednego: prezentu dla Kordiana, mojego chłopaka. Krążyłyśmy bez celu, bo wciąż nie wiedziałam, co mu podarować. W końcu wstąpiłyśmy do drogerii i spośród szeregu perfum wybrałam wodę Calvina Kleina. Czulałam się trochę winna, że szłam tak na łatwiznę i kupuję mu coś z kosmetyków. Moja przyjaciółka była podobnego zdania.

- Naprawdę chcę, żeby mu się spodobał ten zapach - broniłam się. - Będzie wyjątkowy.
- Spodoba. Kordian nie jest wymagający - uśmiechnęła się ironicznie.
- Cicho – rzuciłam, nie zwracając na nią uwagi. Konstancja uwielbiała docinać.

Gdybym wtedy wiedziała, że to będą nasze ostatnie mikołajki, zdecydowanie bardziej przyłożyłabym się do tego prezentu.

Pogrzeb był taki nierzeczywisty. Wszystko odbierałam jak przez mgłę i wszystko wydawało się absurdalnym snem. Był grudzień, dzień pogrzebu był mroźny, a w powietrzu wirowały malutkie płatki śniegu, które osiadały na nagrobnych kamieniach. Na trumnie. Fizycznie uczestniczyłam w tej uroczystości, ale duchem byłam gdzie indziej, nie pojmowałam tego, co się działo. To nie mógł być przecież jego pogrzeb. To nie jego zamknęli w paru zbitych deskach i wrzucili w lodowaty dół. To nie tam było przecież jego miejsce...

A jednak on był naprawdę martwy. Nic już nie czuł i nigdy już nie dane mi było przy nim spędzić choćby chwili. Dlaczego mnie zostawiłeś, chciałam krzyknąć. Dlaczego odszedłeś, nie przejmując się w ogóle, co się ze mną tu bez ciebie stanie?

Bo odszedł. Już go nie było. Gdzie więc był? Czy wciąż mnie pamiętał? Czy był szczęśliwy? Czy w chwili tej nagłej okropnej śmierci mój obraz choć przeleciał mu lotem błyskawicy przed oczami? Czy może stał tu, teraz obok mnie ze świadomością, że jest przyczyną tego wszystkiego, łez rodziców, powagi znajomych oraz całego mojego żalu.

Jego rodzice wcale nie kryli swoich łez, przecież go kochali. Przecież ja też go kochałam. Również powinnam płakać, nie mogąc sobie poradzić z tak wielką stratą. Zamiast tego czułam się oszołomiona i otępiła. Kordian - martwy? Przecież był najbardziej żywą osobą, jaką znałam. Zawsze było go wszędzie pełno. Wszyscy go lubili. Kochał życie. Wydawało się, że z wzajemnością...

Dni po pogrzebie dla mnie stanowiły tylko jedną ciemną plamę. Wszystkie zlewały się w mojej świadomości w jeden ciąg, niewyraźny i monotony. Wszystkie były takie same, bezbarwne, ponure, zimne. Pragnęłam je przespać. I w sumie to robiłam przez większość czasu. Spałam i śniłam. Bardzo często dopadały mnie sny. Najczęściej widziałam Kordiana. Czasami mówił coś do mnie. Sny były tak sugestywne, że po przebudzeniu z trudem uświadamiałam sobie, że to tylko majaki mojego umysłu wyrażające tęsknotę za tym, co już na zawsze dla mnie stracone.

Kochałam go, teraz byłam tego pewna, jak nigdy dotąd. Wcześniej byłam taka beztroska, nie myślałam, co będzie jutro, oboje mieliśmy przed sobą jeszcze mnóstwo wspólnych dni. Całą przyszłość. Wszystko się zmieniło. I tonęłam. Jedynym pocieszeniem było uczucie, jakim kiedyś mnie darzył. Kiedyś - wydawało się, że w innym życiu. Każde wspomnienie było teraz na wagę złota, przerażająca stawała się myśl, że kiedyś pamięć mnie zawiedzie.

W końcu przyszedł czas wybudzania się. Wszystko dookoła zdawało się mnie chwytać i usiłować wyrwać z marazmu, choć najchętniej bym się skuliła i spała. Nie mogłam wrócić do szarej codzienności. Nie potrafiłam. Minęło nieco czasu, nim wróciłam do szkoły. Wszystko wydawało mi się dziwnie jaskrawe i zbyt ostre, zbyt głośne. Nie dostrzegając dziwnych spojrzeń oraz pełnego współczucia wzroku Konstancji i Kuby, pragnęłam, aby lekcje minęły jak najszybciej.

Pewnego dnia odwiedziłam rodziców Kordiana. W jego domu wszystko wydawało się takie zwyczajne. Jakby nadal tam był. Jego pokój pozostał nienaruszony.

- Naprawdę mi przykro - powiedziałam w pewnej chwili, nie mogąc spojrzeć jego mamie w pełne smutku oczy.

- Jak to się mówi, życie toczy się dalej - odparła, choć trudno było stwierdzić, czy sama się z tym zgadza. - On cię kochał. Cały jaśniał, kiedy o tobie wspominał. Pamiętaj o tym. Będzie ci choć odrobinę lżej.

Nastał Nowy Rok. Cicho i ledwie zauważalnie. Było mroźno, z niewielkimi przerwami padał śnieg, w powietrzu było białe od kotłujących się, wirujących bezwładnie płatków. Na feriach kilka razy odwiedziłam Kordiana. Nie za często, nie byłam w stanie znieść cmentarnej atmosfery. Kordian nie pasował do tego miejsca. Na pewno mu się tam nie podobało. Zakładając, że w ogóle cokolwiek odczuwał po śmierci. Zakładając, że gdzieś tam wciąż jeszcze istniał.

Potem znów zaczęła się szkoła i znów wróciło pragnienie, by jak najszybciej mijały te połówki dnia. Pewnego popołudnia, wracając do domu, zawędrowałam do kościoła. Wydało mi się to dziwne, bo nigdy. Teraz też nie zamierzałam, powtarzałam tak sobie w przyływach gniewu i bezsilności, ale...

Uświadomiłam sobie, że nigdy nie byłam w pustym kościele. Światła były pogaszone, ławki puste, przestrzeń dookoła mnie ogromna, a zwykle rozświetlony światłem dnia witraż teraz był szary i matowy. Usiadłam w ostatniej ławce i rozglądnęłam się.

Boże, westchnęłam z rezygnacją. Chciałabym, żebyś mi go zwrócił. Ale ty tego nie zrobisz. Dlaczego mi go zabrałeś? Dlaczego zgodziłeś się, by ten wypadek miał miejsce?

Zesztywniałam, podniosłam oczy i niespokojnie zmierzyłam najbliższą przestrzeń. Liczyłam, że kogoś zobaczę, ale nie, kościół wciąż był pusty. Delikatnie wciągnęłam nosem powietrze. Tym razem nic. A jednak moment temu tak wyraźnie poczułam ten zapach. Zapach Kordiana. Zapach wody, którą dla niego kupiłam na mikołajki.

Wydawało ci się, opadłam oszołomiona na oparcie twardej ławki, innej możliwości nie ma. Nie może być.

Znów zobaczyłam Kordiana we śnie. Wyglądał tak samo. Jakby wciąż żył. Uśmiechnął się do mnie, a ja poczułam tęsknotę: i obawę o własne zdrowie psychiczne. Co się ze mną działo?

- Ty nie żyjesz - powiedziałam bardziej do siebie, przypominając sobie zdarzenie w kościele. Zdziwiłam się, słysząc swój głos. To był tylko sen, ale nigdy wcześniej nie śniło mi się, że z nim rozmawiam.

Uśmiechnął się krzywo tym uśmiechem, który lubiłam w nim najbardziej, jednak było w nim coś z tęsknoty.

- To prawda - odparł. Jego głos, niesłyszany od tak dawna, wydawał się najwspanialszym dźwiękiem w tym pustym świecie, który mnie otaczał.

- Chyba wariuję - zwierzyłam mu się. - Widzę cię ciągle w swoich snach i wydaje mi się, że czuję twój zapach.

- Po prostu jestem przy tobie - powiedział to tak, jakby było najbardziej oczywistą rzeczą na świecie. - Cokolwiek by się ze mną nie działo, nigdy nie zostawię cię samej.

To tylko sen, uspokajałam się, ja naprawdę z nim nie rozmawiam, to tylko mój mózg, zboleły i zmęczony, podsuwał mi to, co najbardziej chciałam ujrzeć. Obudziłam się gwałtownie i rozejrzałam. Tak, to był sen. Jednak... Zmarszczyłam brwi, wychwytyjąc jakąś słabą woń. Perfumy, dotarło to do mnie. Zerwałam się z łóżka i jednym ruchem otworzyłam na oścież okno. To się nie może powtórzyć! Nie chcę zwariować!

Pragnęłam jak najszybciej pozbyć się tego zapachu. Pozbyć się dowodu, który obciążał mój zdrowy rozsądek i wskazywał, że zaczynam wyobrażać sobie rzeczy, które nie istnieją. Wciągałam szybko mroźne powietrze, usiłując się uspokoić. Trwałam tak nieruchomo, dopóki ślad perfum całkowicie nie zniknął, a mojego ciała nie przeszył dreszcz. Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że przemarzłam do kości. Wróciłam do łóżka. Długo jeszcze nie mogłam zasnąć, ale zapach już więcej nie powrócił.

Wariowałam. Bo czy było jakieś inne wytłumaczenie? W najbliższym czasie jednak ani zapach, ani sny nie powróciły. Powoli otrząsałam się z tego wszystkiego. A raczej - usiłowałam o tym nie myśleć. Usiłowałam za to wreszcie skupić się na chwili obecnej i w końcu dotarło do mnie, jak usilnie próbowałam się wycofać z własnego życia. Zupełnie jakbym też umierała, wolno i boleśnie. Wciąż trzymałam się z przyjaciółmi, ale towarzyszyłam im jedynie fizycznie, w szkole. Nigdzie nie wychodziłam po lekcjach, nie wdawałam się w długie rozmowy. Jak mogłam się tak zmienić? Sama się od wszystkich odsunąć?

Pewnego razu postanowiłam zwierzyć się Kubie. Był przyjacielem Kordiana, też na swój sposób mu na nim zależało. Opowiadając o tym wszystkim, gdzieś w głębi ducha obawiałam się, że uzna mnie za wariatkę. On jednak, ku mojemu zaskoczeniu, odparł:

- Wiesz, co? Według mnie, wszystko z tobą w porządku.

- Ale przecież ja wyraźnie czułam jego zapach! To była dokładnie ta woda, którą dla niego kupiłam. Zapach wziął się dosłownie znikąd. W jednej chwili się pojawił, w następnej już go nie było.

- Hm. A gdyby było tak, że Kordian wciąż przy tobie jest, tylko ty nie możesz go już zobaczyć? Kochał cię. Myślisz, że mógłby cię jak gdyby nigdy nic zostawić tu tak samą?

Spojrzałam na niego sceptycznie, ale on mówił serio. Zastanowiłam się. Szczerze mówiąc sama nie czułam, że bym traciła rozum. Czułam się tylko tak, jakbym znajdowała się w obliczu czegoś, czego nie potrafię pojąć.

Potrzebowałam paru miesięcy. Oswojenie się z utratą kogoś ważnego wymaga czasu, dopiero teraz wiedziałam, jak wiele. Kordian odszedł, nie potrafiłam zrozumieć dlaczego i jaki to miało sens, ale wiedziałam, że i tak zawsze będzie przy mnie. To coś pomiędzy nami w moim świecie było stracone i tutaj nie będzie miało swej kontynuacji. Ale mimo wszystko ja musiałam jakoś sobie dawać radę. Ja jeszcze stracona nie byłam, musiałam iść dalej.

Iwa

ANNA IWASZEK, Zespół Szkół Elektronicznych w Rzeszowie

Tajemnicza piękność

Zjawiała się niespodziewanie, w zadymionym pokoju, w delikatnych dźwiękach gitary, w tajemniczym półcieniu. Nikt nie spodziewał się jej obecności. Była spokojna, powolna, bezcielesna. Unosiła się i tonęła w świetle świec. Bezforemna piękność jaśniała w dziewczęcych spojrzeniach rzuconych ukradkiem na męskie ręce wystukujące rytm na parapecie. Uwielbiała taki nastrój. Ściany w kolorze soczystego grejpfruta potęgowały ciepło. Przyjemna woń unosząca się znad świec tkniętych płomykiem wypełniała pomieszczenie. Cały pokój przepełniały błyski kolorowej płataniny świateł. Spoglądała na tłum ludzi kołyszących się w rytm spokojnej muzyki. Śmiech dryfował od ściany do ściany. A ona cierpliwie obserwowała parę. Długie blond włosy przykrywały odkryte plecy i ramiona młodej dziewczyny. Morskie oczy nieśmiało patrzyły na bruneta. Jego szept kwitowany był ciepłym uśmiechem.

Nie dziwił jej spokój młodych. Odmieniła tę parę. Widzieli tylko siebie. To jej zasługa.

Nagle ktoś w pokoju zaświecił światło. Przy przełączniku stał wysoki chłopak w bluzie z kapturem, krzyknął:

- *Biją się na dole, szybko!*

Cała sala ruszyła, by oglądać bójkę. Ktoś wstając, przewrócił świeczkę. Otworzyło się okno ciemnym ziewnięciem. Strumień lodowatego powietrza przeciął mieszkanie i zgasił świece. Prysnął magiczny czar. Ściany przybrały odcień brudnego beżu z domieszką czerwieni.

Patrzyła z niedowierzaniem, jak brunet wybiegł na dwór za innymi, a dziewczyna została sama, wyciągnęła telefon i zaczęła pisać sms'a do koleżanki: „nie wiem, czy to miłość, czy złudzenie”

Jeszcze muskała razem z wiatrem jasne kosmyki nad czołem. Jeszcze wyczekiwała błysku w oku. Jeszcze walczyła, ale.... znów przegrała. Głośny doping, krzyki, przekleństwa, ostre dźwięki syren - to nie dla niej.

Miłość zbladła, stała się przezroczysta, znikła.

Vendie

KATARZYNA BIEDA, Technikum nr 1 w Mielcu

Oddając się wspomnieniom

Płomień świecy stojącej na parapecie chwiał się pod wpływem wiatru jakby nie był pewny, czy powinien zgasnąć, czy rozbłysnąć jak gwiazdy, wyglądające niczym diamenty rozrzucone po ciemnym aksamicie nieba. Cisza przerywana jedynie głośnym tykaniem zegara sprawiała złudne wrażenie, że pomieszczenie mogłoby być puste, jednak w szklanej powierzchni uchylonego okna, oprócz drżącego ognia można było dostrzec coś jeszcze - zmęczone, niebieskie tęczówki, których właściciel nieufnie patrzył na miasto pogrążone w objęciach Morfeusza.

Spoglądał na zegarek. Jak zwykle jego tarcza wskazywała trzecią czterdzieści cztery. Przetarł oczy, by się upewnić. Conocny maraton właśnie się zaczął, któryś już raz z kolei. Był pewien, że sen go już nie dopadnie, raz obudzony nigdy nie potrafił zasnąć. Pochylił się i schował twarz w dłoniach. Brak snu i późniejsze zmęczenie nie działały sprzyjająco na szkołę i życie prywatne. Wszystko coraz bardziej się komplikowało, a to za sprawą jednej osoby, jednego wydarzenia.

Wzrok skierował kolejny raz na widok za oknem. Przed snem lubił wpatrywać się w księżyc, a fakt, że mieszkał na dwunastym piętrze, utwierdzał go w poczuciu prywatności. Za szybą zauważył ją. Jej obraz przypominał mu wszystko, co zrobił. Rozpłynął się w momencie, gdy chciał podejść i ją poczuć. Wraz z dotknięciem zimnego szkła, obraz zniknął. Widział tylko miasto zalane ciemnością. Jedynie gdzieś tam, w oknach paliło się światło. Jedni pracowali, inni się bawili, a pozostali, tak jak on, nie mogli spać, zadręczając się myślami. Zamknął oczy.

W pamięci wciąż ma rozmazany wzrok, gdy był w karetce. Pamiętał dokładnie krzyki, zdyszany szept siostry, która wciąż powtarzała "Będzie dobrze ", jakby chcąc przekonać do tego samą siebie.

- Anka! Anka! Anka! Nie umieraj, nie umieraj mi tu, no! Ja cię potrzebuję, Anka!

- Niech pan się uspokoi i nas przepuści, to nic jej nie będzie.

- Ale to moja siostra! Muszę przy niej być!

Ciepła strużka krwi pozostawiała mokry ślad na jego skroni, ale strach go nie dotyczył, nie wbijał swych długich paznokci w jego szyję, nie szeptał, nie śmiał się w kącie, śmierć ani razu nie zajrzała w jego niebieskie tęczówki - jedynie szafirowe tęczówki siostry zawieszane na jego twarzy wyrażały za całą dwójkę lęk gromadzący się w małym wehikule.

- Trzymaj się Anka, trzymaj...

- Panie Piotrze, niech się pan uspokoi! Marek, weź go stąd!

- Ale ja nie chcę... Ania!

Na twarzy Piotra - dwa potoki łez. Wracanie do tego, co stało się przed kilkoma tygodniami, spędzało mu sen z powiek. Jak mógł być takim idiotą, aby mimo sprzeciwu rodziców, po kryjomu wyciągnąć młodszą siostrę na koncert ich ulubionego zespołu. Jak mógł być takim idiotą, żeby pić alkohol, a potem wsiąść za kółko. Pić, a potem patrzeć jak

rodzona siostra umiera. Ta, która była przy nim zawsze, która zawsze była po jego stronie. Wyrzuty sumienia przegryzły na wylot. Wyciągnął paczkę papierosów. Powrót do nałogu sprzed lat był czymś niewyobrażalnie łatwym, tym bardziej w takiej sytuacji. Zapalił jednego, wziął głęboki wdech, kolejny raz wracając do wspomnień.

Biały korytarz, a na końcu drzwi z napisem "Sala operacyjna". Za drzwiami ona. Po raz pierwszy w jego życiu dni miały tak wolno, a minuty tak bardzo się przedłużały, gdy patrzył na dłuższą wskazówkę zegara, na szpitalnym korytarzu. Emocje wzięły górę nad rozsądkiem. Pchnął drzwi, wbiegł do sali, zobaczył pięcioro lekarzy pochylonych nad wątłym ciałem jego siostry. Jakby przez mgłę widział, co się dzieje. Jedyne, co do niego docierało, był długi, nieprzerwany dźwięk wydobywający się z jakiegoś urządzenia.

- *Ona umiera! Zróbcie coś, do jasnej cholery! Uratujcie ją!*

- *Co on tu robi? - krzyknął lekarz. - Zabierzcie go stąd.*

- *Ja nigdzie nie idę!*

- *Proszę wyjść - spokojnym głosem zaczęła pielęgniarka. Zabrała go na korytarz. Starł się opanować.*

- *Czy ona przeżyje? - zapytał.*

- *Takie obrażenia są ponad możliwości medy... - nie pozwolił skończyć.*

- *Nieprawda, łże pani! Ona nie ma prawa umrzeć, rozumie pani?! Ona ma przed sobą całe życie!*

- *Teraz wszystko jest tylko w rękach Boga, teraz pozostaje nam już tylko modlitwa - wróciła do sali, zamykając drzwi.*

- *Ale Boga nie ma, proszę pani, nie ma żadnego nieba, ani piekła, to bajki dla dzieci, by były grzeczne. Ja już nie jestem małym dzieckiem, przykro mi - powiedział Piotr, bardziej do siebie, niż do.*

Wyszedł. Wsiadł do samochodu i pojechał przed siebie. Musiał odreagować. Po kilkudziesięciu minutach otrzymał telefon ze szpitala. W mgnieniu oka znalazł się na miejscu. Nie patrzył już na światło odbijające się od przerażająco białych ścian, nie przejmował się donośnym echem swoich kroków, niosących się po opustoszałych korytarzach - biegł, jak najszybciej, szeptem wzywał każdego boga, jakiego imię było mu znane, byle ocalić ostatnią nadzieję, tłącą się wątłym płomieniem na dnie serca. Słowa wypowiedziane przez pielęgniarkę stojącą przed salą operacyjną odbijały się w jego głowie krzykiem, ale one nadal nie mogły do niego dotrzeć. Nie chciał uchylić drzwi, by mogły spokojnie wejść do jego świadomości. Zatrzymał się i spuścił głowę.

- *Niech pan się uspokoi, chodźmy porozmawiać - zanim zdążył wydobyć z siebie jakąś oznakę protestu, został wepchnięty przez lekarza do pomieszczenia obok, oświetlonego bladym, gasnącym blaskiem żarówki pod sufitem. Dalej wszystko popędziło tak szybko, że nie zarejestrował, kiedy usiadł na przeżartym przez mole fotelu, trzymając w jednej dłoni papierosa, a na stoliku obok drugiej, mając gorącą, aromatyczną kawę, której woń sprawiała, że obraz nabrał ostrości po tym, jak przez kilka chwil widział jedynie ciemność.*

- *Wiem, że ten nieszczęśliwy wypadek jest dla pana wstrząsem, szokiem, o którym wiele osób nie ma pojęcia. Robiliśmy wszystko, co w naszej mocy, ale, niestety, nie udało nam się uratować pańskiej siostry. Zmarła przed dwudziestoma minutami.*

Cały świat przestał istnieć. Nie był w stanie wydusić z siebie słowa. Poczul, jak mięsień, znajdujący się po lewej stronie, potocznie zwany sercem, rozpada się na milion drobnych kawałków.

Gwałtownie otworzył oczy. Ból, który kolejny raz z kolei przeszył jego ciało, był nie do wytrzymania. Zgasił papierosa, podszedł do szafki, na której stało oprawione w ramkę zdjęcie dwojga ludzi. Brata i siostry. Spojrzał na jej uśmiechniętą twarz, przypomniał sobie jej śmiech, jako dziecka. Te oczy, błękitnozielone przypominające taflę morza, widzianą z lotu

ptaka. Ten nos, cudownie się marszczył, gdy obdarowywała ludzi uśmiechem. Te piegi, których tak nie lubiła. Zrobił głęboki wdech. Wanilia. Ulubiony zapach Ani. Odłożył pamiątkę na miejsce. Podszedł do łóżka, upadł na kolana. Drżącymi dłońmi wykonał znak krzyża i zaczął się modlić, choć nie robił tego od niemal dziesięciu lat.

- Boże, jeżeli istniejesz, jeżeli naprawdę stworzyłeś świat i się nim opiekujesz, opiekuj się także moją młodszą siostrzyczką. Podobno jesteś miłosierny. Więc okaż miłosierdzie, pozwól mi pozbyć się wyrzutów sumienia, które zżerają mnie. Krzyczę, ciągle krzyczę, próbując zagłuszyć ciszę, która zabija we mnie ostatni fragment człowieczeństwa. Rodzina odwróciła się ode mnie, podobnie jak i wszyscy znajomi sprawiając, że nie widzę sensu w życiu. Nie mam do kogo otworzyć ust, nie ma osoby, która chciałaby mnie wysłuchać. Jestem tu sam. Tu, w ośrodku psychiatrycznym, do którego trafiłem po kolejnej nieudanej próbie samobójczej. Zastanawiam się, ile błędnych decyzji przyszło mi podjąć w życiu, ale szybko zaprzestaję poszukiwań boję się, co tam znajdę. Mimo że nigdy Cię nie widziałem, głęboko wierzę, że Ania u Ciebie będzie szczęśliwa. Wybacz mi, wybacz, że przez ostatnie kilka lat tak bardzo się zmieniłem, że zaniedbałem modlitwę, rodzinę, szkołę, przyjaciół. Przecież jestem tylko człowiekiem, cały czas popełniam błędy. Pozwól mi być lepszym - wiedział, że ta modlitwa jest naiwna, ale i dziecinnie niewinna, czysta, nie uznająca pychy i kłamstwa.

Jedna kryształowa kropla opadła na biały materiał, pozostawiając mokry, szarawy ślad, o czym dołączyło do niej kilkanaście jej siostr, jedna po drugiej, zachowując się tak samo, jak poprzedniczka. To nie były łzy smutku czy żalu. Były to łzy człowieka, który się oczyścił. Człowieka, który zaczyna życie od nowa, z czystą kartą. Który po wielu latach, wielu błędach, nawrócił się.

My, ludzie, będąc najdoskonalszymi stworzeniami, mamy najwięcej wad. I kluczem do szczęścia jest to, aby te wady zrozumieć, wrócić do korzeni i odnaleźć siebie.

Nowajjka (j.w.):

MARCELINA DZIOK, III LO Krosno

Szajbnięty Juli

Świat należy do ludzi, którzy mają odwagę marzyć i ryzykować, aby spełniać swoje marzenia. I starają się robić to jak najlepiej.

Paulo Coelho

Ludzie mówili o nim Szajbnięty Juli. Bo jakim prawem mógł mieć w sobie tyle koloru, uśmiechu i radości, kiedy żył w takim kraju jak Polska? Jak śmiał być takim wesołkiem, kiedy mieszkał w odrapanym, szarym bloku, poruszał się nudnymi ulicami, między obojętnie rozpędzonym tłumem, jak mógł dawać biedakom na ulicy cukierki, skoro oni oczekują czegoś bynajmniej nie słodkiego, a raczej pozwoli im zapomnieć na kilka godzin o wszystkim, czego nie chcą pamiętać?

Znali go wszyscy: dzieci z podwórka, które uwielbiały Julego za to, że nie przeganiał ich z trzepaka, jak ortalionowi wygołeńcy, lecz zawsze przysiadł z nimi w ich wypasionej bazie i opowiadał o czasach, kiedy nie było jeszcze komputerów i Internetu, a dzieci na pierwszą komunię dostawały zegarki i rowery zamiast quadów, laptopów i iPadów. Znały go moherowe babcie- to ten kręcony, co to się zawsze do kościoła spóźnia i zamiast modlić, głupio uśmiecha, pewnie naćpany jakiś, pijany albo co. A i w tramwaju miejsca nie ustąpi, taka to ta dzisiejsza młodzież niewychowana, tylko narkotyki, alkohol i dzikie imprezy im w

głowach. Julego znali także młodzi: to ten taki, co ma włosy jak Szopen, się cieszy jakby był najarany, dzieli się kanapkami i lubi gadać z bezdomnymi?

Julek wiedział, że mają go za pomyleńca, kosmitę, który biega po mieście z rozczochraną czupryną i wszystkim życzy miłego dnia, tylko dlatego, że jakoś nie potrafił się nie odzywać w towarzystwie tylu tematów do rozmowy, a każdy miał inną historię do opowiedzenia. Mimo wszystko nie uznawał siebie za kretyna - uważał, że to ludzie są chorzy na umyśle, skoro cały swój czas spędzają na obrażaniu się na życie, zamiast czerpać z niego, ile się tylko da. Wszyscy pytali go, z czego się tak cieszy? Przecież nie miał góry pieniędzy, mieszkał w obskurnym bloku, w kraju, w którym politycy kłócą się, kogo racja jest bardziej mojsza, a kogo najmojsza, w mieście, gdzie więcej było głodujących na ulicach niż prawdziwych wiernych w kościele. Nie za wesoło ci czasem? Masz za dużo powodów do śmiechu? Nie brak ci problemów? (spacja) - pytali go wiecznie skwaszeni koledzy, nauczyciele. Julek jakoś nie widział żadnej trudności w wypinaniu tyłka na problemy i wystawianiu twarzy na światło słoneczne. Nie patrzył na życie tylko przez pryzmat zasobności portfela. Uważał, że jest szczęście takie ot, z powietrza, aniżeli szczęście kupione w sklepie. Nie widział żadnego problemu w tym, że nie ma kasy na wszystko, czego tylko by nie zapragnął. Skupiał swoje marzenia na rzeczach, których nie dało się kupić: na zdrowiu, rodzinie.

Czuł się inny od innych, dlatego nie stosował się do żadnych zasad, a więc spóźniał się do kościoła, czasami wcale tam nie chodził. Zrozumiał, że przesiadywanie w kościelnych murach nie jest mu potrzebne do wiary, gdy przeczytał tomik wierszy ks. Jana Twardowskiego. Bo przecież napisał on, że można dojść do Boga bez Boga, bez klepania różańca niczym zacięta płyta, bez uderzania się w piersi z przyzwyczajenia. Julek w duchu czasami kpiał z wszystkich tych religijnych, ale tak naprawdę niewierzących, którzy chodzą do kościoła, bo sąsiedzi patrzą, i wzajemnie: wytykali Julka palcami, gdy zamiast śpiewać litanię, uśmiechał się - jak to tłumaczył- do Matki Bożej.

Szajbnięty Juli uwielbiał się budzić rano. Dlatego, że nigdy nie wiedział, co go spotka. Nigdy nie miał żadnych planów na jutro, bo bał się, że mógłby ich nie dożyć, a wtedy byłoby mu szkoda, że nie zrobił tego, co zaplanował. Całe dni spędzał na chodzeniu po mieście lub siedzeniu w szkole, czasami jechał na gapę autobusem do sąsiedniej miejscowości, gdzie odwiedzał starszych ludzi i rozmawiał z nimi o dawnych czasach. Uwielbiał słuchać o wojnie, o czasach, gdy dla ludzi ważniejsza była rodzina niż pieniądze, kiedy nikt się nie rozwodził i nie kłócił o majątek, kiedy politycy starali się naprawić Polskę, a nie zepsuć. Czasami nie wychodził z pokoju, bo się uczył albo, jak teraz, siedział w parku i obserwował ludzi.

Siedzenie na ławce w rudozłotym, jesiennym parku oblanym światłem październikowego słońca należało do jego ulubionych zajęć. Mógł godzinami patrzeć na dzieci zbierające kasztany, lub szczęśliwe mamusie, prowadzące różowe wózki z gaworzącymi zawiniątkami. Czasami wybuchał wariackim śmiechem na widok trzewiczków w smerfnych rozmiarach wystających z wózków. Czasami dosiadał się do niego jakiś bezdomny, z którym chętnie rozmawiał. Lubił słuchać historii życia tych ludzi - bo wbrew pozorom nie każdy bezdomny to ścierwo, pasożyt, który przepił wszystko.

Tego dnia dosiadła się do niego dziewczyna, Sabina. Ciężko było Julkowi stwierdzić, ile ma lat. Wyglądała na jakieś dwadzieścia, a tak naprawdę ledwo skończyła szesnaście. Ledwo - bo z okazji urodzin mało nie przedawkowała heroiny w dworcowym kiblu. Opowiadała Julemu, jak pierwszy raz wbiła sobie igłę w rękę i jak znalazła się na szarej, parszywej drodze narkomanki, drogi donikąd. Streściła wszystkie noce na dworcu centralnym, większość kradzieży, których dokonała po to, by skołować dla siebie lub dla swoich kumpli choćby troszkę hery. Juli słuchał jej, starając się zrozumieć.

Właśnie dzięki słuchaniu ludzi, których nikt nie chce słuchać, Julek zrozumiał wiele rzeczy. Doszedł zupełnie sam do stwierdzenia, że pieniądze nie dają szczęścia - czasami wręcz sprowadzają nieszczęście. Przykładem tych nieszczęść byli dla Julego liczni znajomi,

których rodzice byli tak zapracowani, zaślepieni potrzebą posiadania pięknego domu, drogiego samochodu, że nieświadomi nieszczęścia syna, dla którego nie mieli czasu, który w swoim pokoju czuł się bardziej jak w muzeum, albo w galerii sztuki, niż jak u siebie, który wolał zjeść zwykły rosół roboty mamy Julka przy obdrapanym stole, w paskudnym bloku, niż piersi z kaczki z wiśniami w najdroższej restauracji, siedząc zupełnie samemu na ozdobnym krześle przy stoliku – dziele sztuki.

Aż przyszedł taki rok, w którym szajbnięty Juli zniknął tak, jak pęka nieoczekiwanie mydlana bańka. Nagle ludzie zaczęli rozumieć, dlaczego wykorzystywał każdy swój dzień na dwieście procent, dlaczego rozmawiał z każdym, kto tylko miał na to ochotę, po co wyczyniał te wszystkie zwariowane rzeczy. Raptem miasto stało się bardziej szare. Brakowało na ulicach kręconej czupryny, wesołej facjaty wrzeszczącej do każdego: miłego dnia, dzień dobry! Bezdomni stracili powiernika swoich sekretów, ławki w parku czekały, aż wreszcie ktoś na nich przysiądzie i poobserwuje grające w liściach kasztanowca jesienne światło. Wraz z Julim zniknął czwarty wymiar, który tworzył swoją osobowością. Ze sceny zniknął kolejny aktor, ale jego gra pozostała na zawsze w pamięci mieszkańców miasteczka. Nauczyła ich jak żyć lepiej, bardziej świadomie.

SPIS TREŚCI

POEZJA

Aleksandra Skwierz.....	8
Marcelina Dziok.....	10
Monika Tomczyk.....	11
Marta Magdoń.....	13

TEKSTY POLECONE DO DRUKU

Karolina Nitka.....	14
Karolina Szewczyk.....	15
Julia Urban.....	16
Natalia Szumna.....	16
Konrad Kustron.....	17
Dawid Król.....	18
Daria Bełch.....	19
Barbara Różanska.....	20
Michał Basamon.....	22
Anna Wójciak.....	24
Joanna Leja.....	24
Adrianna Liebchen.....	25
Aleksandra Skiba.....	25
Karolina Rachwał.....	26

Aleksandra Stanek.....	27
Jakub Dzierżak.....	28

PROZA

Tomasz Kida.....	29
Piotr Kostański.....	31
Piotr Kędzierski.....	33
Michał Musiał.....	35

TEKSTY POLECONE DO DRUKU

Maciek Doryk.....	37
Klaudia Stanisz.....	40
Weronika Koprowska.....	41
Szymon Barabasz.....	43
Karolina Kotyla.....	46
Katarzyna Rząsa.....	48
Anna Iwaszek.....	51
Katarzyna Bieda.....	51
Marcelina Dziok.....	54

Sekretariat
III Liceum Ogólnokształcące
im. Cypriana Kamila Norwida w Rzeszowie
ul. Szopena 11, 35-055 Rzeszów
17 748 28 70

Zespół redakcyjny:

Marek Pękala
Grażyna Dzikowska
Katarzyna Paśko
Greta Starzak
Justyna Kuśnierz
Julian Sacharczuk

Projekt graficzny logo RDKS:

Bogusław Tomczak

Organizator:



Patroni:

PREZYDENT MIASTA RZESZOWA
BISKUP RZESZOWSKI



Polskie Radio
RZESZÓW



Sponsorzy:



Firma Fotograficzna VEGA